Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 36 (1772) 6–12 września 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Życie w dobrobycie

str. 3

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223409 36

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 1cbc9cf06b

WOJNA DOMOWA

Na festiwalu Trzaskowskiego, zwanym dla niepoznaki Campus Polska Przyszłości, wystąpił minister spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kułeba, który poinformował zebranych – i prowadzącego z nim rozmowę ministra spraw zagranicznych RP, Radka Sikorskiego – iż operacja „Wisła" była zbrodnią na miarę rzezi wołyńskiej, albowiem *ci wszyscy Ukraińcy zostali przymusowo wygnani z terytoriów ukraińskich*; toteż lepiej nie *grzebać w historii* i nie *wypominać sobie tych złych rzeczy, które Polacy uczynili Ukraińcom i Ukraińcy Polakom*. Radek nie zareagował, zareagował za to resort Kułeby, który ustami rzecznika uprzejmie wyjaśnił, że wypowiedź jego szefa nie oznacza *roszczeń terytorialnych*, a jedynie krytykę *zbrodni reżimu komunistycznego*. Na to PO naturalnie mogłaby się zgodzić – zawsze było jej bliżej do banderowców niż do lewicy, która odbudowywała Polskę po wojnie – ale nie zdążyła, bo Kułeba przestał być ministrem. I do tego – to już szczyt chamstwa – nie za to, że obraził Polskę, tylko dlatego, że znudził się Zełenskiemu, który regularnie przeprowadza rekonstrukcje rządu, żeby się ministrom w dupach nie poprzewracało.

W tym samym mniej więcej czasie szef polskiej – za przeproszeniem – dyplomacji poinformował „Financial Times", że *Warszawa ma obowiązek zapewnić bezpieczeństwo swoim obywatelom, niezależnie od obaw, że przechwytywanie nad terytorium Ukrainy może wciągnąć Sojusz Północnoatlantycki w wojnę Rosji z Ukrainą*. Krótko mówiąc, powinniśmy zestrzeliwać rosyjskie rakiety, zanim wlecą w naszą przestrzeń powietrzną, bo ewentualnie mogłyby wlecieć. Kierownictwo NATO zaczęło dyplomatycznie rwać włosy z głowy i prostować, że Sojusz nie ma zamiaru *zacierać granic interwencji* i w ogóle, nie planuje strzelać do Rosjan, ani żywych, ani elektronicznych – ale Radek ma NATO w dupie, albowiem strzelać do Ruskich pozwala mu konstytucja. Fakt, że jest w polskim rządzie ktoś, kto uważa, że bezpośrednia zbrojna konfrontacja z mocarstwem atomowym jest sposobem na zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom, skłania nas do myśli, że obowiązkowe badania psychiatryczne kandydatów na wybrane kluczowe stanowiska nie są takim złym pomysłem.

Przy okazji warto byłoby przebadać także szefa MON, który zaczął cierpieć na szczególny przypadek zdziecinnienia (objaw związany często z demencją) i wydaje mu się, że dostał do zabawy 216 tysięcy ołowianych żołnierzyków. W złowrogiej ciemności Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach dr n. med. Władysław Kosiniak-Kamysz cieszył się jak dziecko, że wydajemy na zbrojenia prawie 5 procent PKB i jest to *pierwsze miejsce w NATO*, co uznał za *powód do dumy*. Swój entuzjastyczny monolog minister obrony narodowej RP zakończył wezwaniem: *Niech targi trwają i przynoszą więcej bezpieczeństwa i pokoju na całym świecie*. Czy tylko my pamiętamy pytanie do Radia Erewań: *Czy będzie trzecia wojna światowa?* Odpowiedź: *Nie. Ale walka o pokój będzie długa i krwawa, i nie pozostanie po niej kamień na kamieniu*.

Teraz się skupcie, to będzie skomplikowane: skończyła się kadencja prezesa Izby Pracy Sądu Najwyższego, sędziego Prusinowskiego. Jego miejsce – w charakterze pełniącego obowiązki – zajął sędzia Miąsik, jako najstarszy stażem sędzia Izby. Po czym do akcji wkroczyła pierwsza prezes SN Małgorzata Manowska, która ogłosiła, że to ona obejmuje kierownictwo na mocy cokolwiek ogólnego art. 14 ustawy o SN (*Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego kieruje pracami Sądu Najwyższego*), po czym *upoważniła* sędziego Miąsika do pełnienia obowiązków, które już wcześniej zaczął pełnić, ale sędzia Miąsik nie czuje się upoważniony, tylko pełniący. Jeśli nic z tego nie rozumiecie, to właśnie o to chodzi: żyjemy w kraju, w którym najbardziej zawiłe problemy prawne nabierają dynamiki meczu piłkarskiego i nie trzeba się na tym znać, żeby wiedzieć, po której jest się stronie. Jak pisał wieszcz: *Nie ten najlepiej służy, kto rozumie*.

Europejski nakaz aresztowania Michała Kuczmierowskiego przyniósł owoce już po jednym dniu – i to nawet nie w Europie, bo w Londynie – toteż obecnie były prezes Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych znowu jest Michałem K. Za to Paweł Sz., twórca patriotycznej firmy Red is Bad sprzedającej koszulki z Mrocznym Husarzem po 200 złotych, stał się przejściowo Pawłem Szopą, albowiem teraz (tj. w momencie zamykania tego numeru) to za nim ganiają z listem gończym. Choć on się wcale nie ukrywa, a jedynie czeka na wystawienie listu żelaznego. A jakiż inny list mógłby dostać Mroczny Husarz? Choć z drugiej strony – w ofercie Szopy znajduje się też koszulka o nazwie *BioPancerz Polskiego Superbohatera* (*BioPancerz po asymilacji z ciałem walecznego człowieka z Polskim Orłem w sercu, przybrał znajome barwy oraz nabrał unikalnych cech*). Naszym zdaniem, Szopa powinien bardziej ufać swojemu asortymentowi. Superbohater zasymilowany z Polskim Orłem nie powinien obawiać się prokuratora, zwłaszcza że – żeby zacytować prezesa Kaczyńskiego – *cała ta prokuratura jest nielegalna, wszystko, co tu się dzieje, jest nielegalne*.

À propos: prezes na antenie Radia Maryja przedstawił wymogi wobec kandydata PiS na prezydenta. „Kandydata" bezdyskusyjnie, bo prezesowi *trudno sobie wyobrazić nawet model pani, która byłaby tą kandydatką*, natomiast *z mężczyzną to wiadomo: musi być młody, wysoki, okazały, przystojny. Wyborcy te wymogi wizerunkowe stawiają wysoko. Musi też mieć rodzinę. Musi znać bardzo dobrze język angielski. Najlepiej, jakby znał dwa języki*. Typowany przez niektórych na tę fuchę Tobiasz Bocheński – zapytany na wrażej antenie, *czy nie jest upokarzające dla doktora prawa startowanie w wyścigu, w którym kryterium jest młodość, okazałość, przystojność* – odparł cokolwiek niefrasobliwie: *Ja się nie czuję upokorzony, czuję się rozbawiony*. O, kochany. Jak ciebie prezes bawi w TVN24, to my ci kariery w PiS nie wróżymy.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Maj 2012 r.

Świętego Achilla

Przyszedł do mnie wynalazca, chcąc, żebym sfinansował produkcję genialnego proszku do prania, który wynalazł. Wyjaśniłem mu, że komponować i robić proszek każdy głupi potrafi, a świetnych proszków jest na świecie więcej, niż niedźwiedź ma włosów. Żeby jeden nowy proszek sprzedać, trzeba go lansować za większe pieniądze, niż warte są wszystkie pozostałe proszki świata.

Zresztą co tam proszek. Jakieś 10 lat temu zaprosił mnie do Szwajcarii szef tamtejszej starej firmy handlowej, z którą robiłem interesy. Sprawa rysowała się jako niezwykle poważna, ponieważ Szwajcar fundował mi podróż i pobyt, co nie leży w ich charakterze narodowym.

Kazał mi ze sobą przywieźć dużo szmat rozmaicie ubrudzonych farbą, tłuszczem, krwią, gównem, co tam tylko w Polsce mamy. Pokaz odbył się w hotelowym barze. Szwajcar pożyczył od barmana cooler, pokazał mi, że pusty, przepłukał i wylał wodę, dowodząc tym, że niczego nie skrywa na dnie, następnie napełnił zimną wodą z kranu. Potem wziął kulkę wielkości piłki tenisowej, przekręcił jej połówki i wrzucił do wody. Brał kolejno moje brudne szmaty, zanurzał i wyjmował czyste. Oferta brzmiała: 6 mln dolarów za pięcioprocentowy udział w przełomie światowego pralnictwa. Teraz oni szukają źródeł sfinansowania wynalazku, w przyszłości te 5 proc. warte będzie miliard.

Pomyślałem, że są na świecie lepsze niż ja źródła finansowania przełomowych wynalazków i że nie należy zawierzać własnym oczom, skoro na świecie roi się od z jednej strony iluzjonistów, a z drugiej od ekspertów.

O kulce wytwarzającej drgania, które robią pranie, myją człowieka, czyszczą kotły, a chronią świat przed zatruwaniem chemikaliami i czynią zbędnym zagracanie mieszkania pralką, więcej nie usłyszałem. Rad bym zaś wiedzieć, czy zetknąłem się z oszustwem, czy z przełomowym wynalazkiem, który wykupili i ugrobili producenci proszków oraz pralek.

Świętej Joanny d'Arc

W sklepiku, w którym zaopatrujemy się w żywność, było w nocy włamanie. Sprawcy ukradli zagrychę, w tym 2 kg cebuli. Rano policja odgrodziła sklep od świata i badała odciski palców. Moja żona codziennie chodzi do tego sklepiku i maca towar. Oczekuje więc aresztowania. Osoby gotowe ją zastąpić w trakcie urlopu, który spędzę na Hawajach, proszone są o nadsyłanie fotoofert. Więzienie czy choćby Hawaje, wszystko lepsze niż obecność w mieście, gdzie odbywają się zawody w dokopywaniu piłce. Żeby ją obsrało.

Świętego Matthiasa

W rozmowie z „Wyborczą" (12–13 maja) Kazimierz Kutz broni zmarłego przyjaciela Andrzeja Czeczota przed zarzutem współpracy z „NIE": rysownik czynił to z konieczności. Z tej konieczności obdarowywał mnie swoimi wyrobami, męczył o podwyżkę, o dopłatę za kolor, o finansowanie jego filmu, o format, w jakim go drukujemy. – Jurek – dzwonił – czy mogę przyjść, chciałbym mieć stałą rubrykę, musimy ją obgadać.

Teraz okazuje się, że Czeczot tak z konieczności. A ja ze współczucia!

Nie wiedziałem, że Czeczot był internowany w stanie wojennym ani że był politycznym emigrantem. Z kontaktów wynikało, że wyjechał do USA w nadziei na karierę. Nie zrobił, to wrócił i też nie zrobił. Aby więcej nie robiono mi łaski, ogłaszam w „NIE" zakaz publikowania autorów skrzywdzonych przez PRL. Niechaj trwa ich krzywda.

W prezencie na trzecie urodziny nasz pudel Azor dostał kość obrośniętą mięsem zająca. Teraz leży w depresji, tak współczuje zającowi, którego zeżarł. Nasze sumienie psów służbowych PRL było bardziej hartowane.

Świętej Denise

Zamiast popluwać na PRL, niech się rząd Tuska uczy na naszych doświadczeniach. Minister Gowin usiłuje otworzyć niektóre zawody. Rząd Rakowskiego ogłosił, że bez licencji, dyplomów i pozwoleń wolno zakładać wszelkie firmy. Wyjątkiem był handel bronią, lekami (chodziło o narkotyki) i czymś jeszcze. Ministrowie oraz korporacje zawodowe usiłowały mnożyć wyjątki: taksówkarz i detektyw muszą mieć licencję, właściciel apteki dyplom itd. Nasz rząd odparł naciski. Z czasem wróciła większość ograniczeń i powstało mnóstwo nowych. Jeżeli Gowin dopnie swego, o co w demokracji trudniej, to potem cicho i pojedynczo wrócą wszystkie licencje, wymagania, egzaminy, ograniczenia. Gowin wylewa wodę z dziurawej łódki, która płynie. Ten minister wierzy w moce nadprzyrodzone. Tylko one mogą mu pomóc.

Świętej Honoraty

Przyjechał znajomy z Ameryki, zresztą nie Aryjczyk, ale dentysta. Jechał w Warszawie taksówką przez dawne getto.

– Tu wszystko wokoło było kiedyś jednego Żyda Zygielbojma – objaśnił go taksówkarz.

– Nie – zaprotestował pasażer. – Tu był skwer imienia Szmula Zygielbojma. To przedwojenny senator. W czasie wojny popełnił samobójstwo w Londynie.

– A to porządny człowiek. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- Prokuratura wystawiła list gończy za **Pawłem Szopą,** twórcą patriotycznej odzieży „Red is Bad". To się nazywa wywinąć orła.
- **Mateusz Morawiecki** powiedział, że telefon to dziś miecz obosieczny. Tu się mówi, a tu się słucha.
- **Daniel Obajtek** zadeklarował uiszczenie wpłaty na PiS również za Jarosława Kaczyńskiego. Żeby prezes nie musiał na pocztę chodzić.
- TVP rusza z programem **„Polak szuka żony"** o poszukiwaniu miłości w Chicago. W Ameryce każdy burak znajdzie swoją Melanię.
- **Sławomir Mentzen** zapowiedział zatrzymanie przymusu szczepień. Oby potomni go nie pamiętali jako Heinego-Mentzena.
- Portal **Fronda.pl** ostrzega, że pornografia niszczy znacznie bardziej podstępnie niż narkotyki. Oczywiście, że podstępnie: chce człowiek Frondę poczytać, a tu mu gejowski gang bang wyskakuje.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Redakcja „NIE"

Dot. art. „Hufce bez koloratek" w „NIE" numer 29/2024. W nagłówku: „Instytucja do zapomnienia". Jak dla kogo. Dla mnie do przypomnienia i to z wielką przyjemnością.

Fuchę, czyli funkcję społeczną komendanta szkolnej organizacji OHP, dostałem w 1970. Skleciłem jakiś plan roczny. Odwiedziłem Kom. Woj. OHP, gdzie przyjęto mnie z radością jako nową siłę. Czekałem na okazję, by się czymś wykazać. Nadarzyła się.

Wyruszyliśmy grupą około 35 osób do gospodarstwa chłopskiego na wykopki buraków cukrowych. Dziewczyna z tej klasy została nagle półsierotą w dramatycznych okolicznościach. Chcieliśmy ją wesprzeć duchowo. Dostaliśmy kilka łopat i noży i rozstawiliśmy się rzędem w polu. Jedni podważali korzeń łopatą, inni wyciągali buraka, jeszcze inni ogławiali z liści i znosili na kupę na udeptaną ziemię. Do nocy zrobiliśmy chyba nie więcej jak ćwierć hektara. I teraz ognisko, pieczenie kiełbasy na kiju. I to była atrakcja i nagroda! Wracaliśmy nocą, jedni do internatu, inni do swojego domu. Autobus 15 km w jedną stronę, parę złotych każdy znalazł we własnej kieszeni. Nikt nie czuł się zmęczony i nikt nie narzekał, bo młodym chciało się pośpiewać przy wspólnym ognisku.

Panie Red. Jasiński, artykuł udany. Gratuluję!

MARIAN SKRZYPEK

Nie – nikogo nie witam, ponieważ dobrze już wiem o tym, że nikt nie przeczyta tego mojego listu, a więc po co? Szkoda atramentu…

Tak – nikt z kierownictwa ani redakcji „NIE" – nie przeczyta, bo:

1) chrześcijańska moralność czynienia dobrze nakazuje pracownikom Poczty Polskiej wyrzucenie do kosza na śmieci każdego tak zaadresowanego listu, a może tylko przekazanie funkcjonariuszowi jakiegoś tam ABW, a może innej ChGW instytucji.

2) być może treść mojego listu nie zainteresuje młodych wiekiem wolontariuszy, stażystów, czy etatowych pracowników redakcji i nawet nikogo nie poinformują o jego dotarciu...

No, nie sposób jednak nie odpowiedzieć na apel nowej rednacz: *Pomożecie?*

Mnie brakuje w każdym wydaniu „NIE" strony prawdy historycznej, którą to stronę będzie można sobie wyciąć i zachować „ku pokrzepieniu serc komunistów". Po latach takie archiwum można by było podarować wnukom.

Nie – ja nie jestem naiwnym człowiekiem, nawet podejrzewam, że być może strony prawdy historycznej zamieszczone w „NIE" nie zainteresują zbyt dużej ilości czytelników. Tego jeszcze nikt nie wie… Młodzi ludzie w kilku niezależnych – ba, odważnych – wydawnictwach w rozmowach ze mną twierdzili, iż np. nikogo już dzisiaj nie interesuje obraz stanu wojennego widzianego z miejsca, w którym stało ZOMO. Nikogo – stare dzieje, a poza tym historycy z IPN napisali już „wagon książek" o tym naszym stanie wojennym. Wszystko dokładnie wyjaśnili i to wystarczy…

Prawda jest taka, że wyjaśnili tylko 50 proc. Drugie 50 proc. jest nadal skrzętnie ukrywaną przed młodzieżą tajemnicą…

JA

eprasa.pl 1cbc9cf06b

Na marginesie projektu budżetu

Muskularne państwo z kartonu

Słowa, słowa, słowa… Ta słynna fraza z Szekspira jest bardzo adekwatna w sytuacji, gdy za oknem skrzeczy rzeczywistość i przychodzi potwierdzić forsą, co jest dla kogo ważne, a o czym tylko lubi gadać, bo tak wypada. Przyjęty przez miłościwie panujący nam rząd uśmiechniętej koalicji projekt budżetu na przyszły rok jednoznacznie pokazuje, co jest dla władzy istotne, co jest priorytetem, a co schodzi na dalszy plan, jest wręcz bez większego znaczenia.

TINA Tuska

Przygotowaliśmy budżet budowy i siły – mówił skromnie Donald Tusk. I dodał, że na obronę pójdzie rekordowe 186 mld zł, więcej niż w i tak bezprecedensowo hojnym dla armii roku 2024. Gdyby ktoś śmiał wątpić w sensowność wydawania takiej masy pieniędzy, premier zażył go z mańki, twierdząc: *To wielki wysiłek, od którego nie ma odwrotu*.

Tu pojawia się niesławna TINA: Thatcherowska konstatacja, że wobec planowanych działań nie ma alternatywy (*There Is No Alternative*). To bardzo wygodne dla rządzących, zwalnia ich bowiem z odpowiedzialności za kraj, czyniąc – jak by powiedzieli miłośnicy Lenina – jedynie *akuszerami Historii*, tego, co jest i tak nieuchronne. Kłopot polega jednak na tym, że to podejście jest z gruntu fałszywe. Żadnego kraju nigdy nie stać na wszystko, co by każdemu się wymarzyło.

Polityka to sztuka wyboru. Nasza władza wybrała przestarzałą wizję bezpieczeństwa militarnego, uśmierzanie lęków przed Rosją, która rzekomo już za chwilę nas napadnie – choć jednocześnie nikt poważny w to nie wierzy. Zresztą sami włodarze Najjaśniejszej też w to bynajmniej nie wierzą, skoro pierdolą o igrzyskach olimpijskich w Polsce i pracują nad elektrownią jądrową, potencjalnym celem ataku o druzgocących skutkach…

Przyjmijmy za Tuskiem, że budżet na 2025 r. ma być budżetem budowy i siły. Oczywiście, nawet pobieżna analiza wypowiedzi premiera sugeruje, że tu chodzi o dwie inne wartości – rozwój i bezpieczeństwo. Co do nich samych w sobie – pełna zgoda. Tylko pojawia się pytanie, co przez nie rozumiemy i jak chcemy zrealizować te potrzeby, aby Polska rosła w siłę, ludziom żyło się dostatniej, a każdy był bezpieczny.

Dysfunkcyjna rodzina

Gdyby porównać Polskę do rodziny – a jak wiadomo z pewnej piosenki disco polo, *wszyscy Polacy to jedna rodzina* – to jej planowane wydatki przedstawiałyby się co najmniej zastanawiająco, jeśli nie zupełnie dziwacznie.

Po pierwsze, jako iż sąsiad z naprzeciwka, Władimir, jest agresywny wobec kolegi, tata postanowił kupić najnowsze drzwi antywłamaniowe. Ale nie poprzestał na tym. Sprowadził ze Stanów Zjednoczonych najdroższy pistolet i paręset nabojów, do tego koreański karabin z granatnikiem, a także drona, aby permanentnie obserwować, co knuje Władimir. No i głowa rodziny wciąż powtarza wszystkim domownikom: *bądź czujny, wróg nie śpi*.

Po drugie, ledwo starczy na opłacanie składki ubezpieczenia zdrowotnego. Wiadomo, że jak człowiek nie ma zdrowia, nie dba o siebie, to żadna służba zdrowia mu nie pomoże. Cóż znaczą nieleczone choroby, kilkuletnie kolejki do specjalistów, skoro uzbrojona po zęby familia ma posłuch w bloku, a może nawet na dzielnicy? Skoro – a to pojawia się tu i tam bez cienia ironii – Polska jest mocarstwem?

Po trzecie, szkoła to jedna wielka pierdoła. Nauka i tak pójdzie w las, nie ma sensu inwestować w edukację bachorów. Niech się tylko nauczą obsługiwać czołg, to jest umiejętność pierwszej potrzeby. Życie da im szkołę. Nie dziwi zatem, że wydatki na edukację oraz badania i rozwój plasują nas niziutko w skali krajów rozwiniętych; aby kraj się rozwijał, zapewne na starcie należałoby je zwiększyć o 100 proc.

A wszystko to na kredyt, bo deficyt ma sięgnąć rekordowych 289 mld zł.

Co jest grane?

Pojawiły się głosy, wcale niegłupie, że to ostatnia paróweczka hrabiego Barry Kenta z „Misia" Stanisława Barei. Że to budżet skrojony pod wybory prezydenckie, aby militarny wilk był syty i cywilna owca nie zdechła z głodu. Potem będzie *casa blanca*, pieniędzy nie ma i nie będzie, podniesie się wiek emerytalny, przytnie wydatki socjalne, słowem zrobi wszystko to, co przed laty doprowadziło do ośmioletnich rządów PiS-u.

W zasadzie odpowiedź na pytanie, co jest grane, jest dość prosta: grane są werble wojny, konsekwentne budowanie państwa z kartonu, które będzie miało służbę zdrowia i edukację rodem z Trzeciego Świata, ale armię i broń najnowocześniejsze w Europie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie neguje konieczności wydatków na wojsko – czasy są niespokojne, wojna tuż za granicą – lecz rodzi się istotne pytanie, czy to wszystko nie poszło stanowczo za daleko. Czy nie zatraciliśmy poczucia proporcji? Czy ktoś się z chujem na głowy nie pozamieniał?

Armaty zamiast masła – tym hasłem krytycy poczynań Hitlera określili politykę Trzeciej Rzeszy. Pod koniec 2022 r. ówczesny szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych RP gen. Rajmund Andrzejczak powiedział w wywiadzie dla „Breaking Defense": *To nie jest kwestia pieniędzy. Naprawdę, uwierz mi, mam większe pieniądze, niż mogłem sobie wyobrazić*. I dodał:

Właśnie wzięliśmy walizki z pieniędzmi, jeździmy jak diabli po świecie i próbujemy zrobić zakupy. Pod tym względem obecna koalicja w całej rozciągłości kontynuuje politykę PiS-u.

A przecież tu powinno nastąpić zerwanie i zastanowienie się, gdzie są granice możliwości finansowych średniej wielkości i średniej zamożności państwa NATO.

Kto chce się bić

Bezpieczeństwo to fundamentalna potrzeba. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale rodzi się pytanie, czy Polska – na co wskazuje przyjęty projekt budżetu na przyszły rok – musi ulegać jego wizji rodem z XIX w., fascynując się kosztującą horrendalne pieniądze bronią? Przecież obecnie bezpieczeństwo to kwestia wielowymiarowa i kompleksowa.

A co z bezpieczeństwem ekologicznym, tak kluczowym w obliczu zmian klimatu? Mamy wrzesień, a termometry wskazują ponad 30 stopni w cieniu. Co Rzeczpospolita z tym zamierza zrobić, jak pomóc – szczególnie starszym ludziom – przetrwać mordercze upały? A co z dostępem do wody pitnej, suszą hydrologiczną w wielu miejscach?

NFZ mnoży przeszkody przy leczeniu wielu chorób, uniemożliwiając wdrożenie najnowszych standardów opieki medycznej. Czemu prezes funduszu nie jeździ z walizkami pieniędzy po świecie, by kupować najnowsze leki i wdrażać innowacyjne terapie? Dlaczego leży promocja zdrowego trybu życia, dbania o swoje zdrowie?

A co z jakością administracji publicznej, bez której nie sposób wyobrazić sobie dobrego państwa, co z usługami dla ludności, pensjami urzędników, które wciąż szorują po dnie? Skoro nawet pracodawcy, widząc, że niska jakość administracji blokuje im biznes, oczekują podwyżek w budżetówce, z której spierdalają specjaliści, czemu rząd jest ślepy?

Jest jedna rzecz, której u nas rządzący nie rozumieją, i ci poprzedni, i ci obecni. W razie czego ludzie są gotowi bronić swego kraju z bronią w ręku, jeśli wiedzą, że jest czego bronić.

Propaganda ma swoje granice, liczą się codzienne realia. W silnej socjalem i dobrze gospodarowanej Finlandii, ponad 80 proc. ludzi jest gotowych bronić kraju. W Polsce – według sondażu z kwietnia – za broń chwyciłoby ledwie 11 proc. ankietowanych, a prawie dwa razy tyle by uciekło za granicę.

Przyjęty przez rząd projekt budżetu skazuje nas na państwo z kartonu, tyle że z nowoczesnymi rakietami.

Rys. MARCIN CHUDZIK

ZUZ

życie W DOBROBYCIE

● Letni wzrost bezrobocia to zjawisko w Polsce niespotykane, bo właśnie w tym okresie roku zapotrzebowanie na pracowników jest większe ze względów sezonowych. Późną jesienią zaś i zimą, budownictwo, turystyka czy rolnictwo ograniczają aktywność, więc pracowników sezonowych się zwalnia. Dlatego nawet najstarszym ekonomistom pospadały buty, gdy wyszło, że po pół roku rządów koalicji miłości, stopa bezrobocia wzrosła w lipcu z 4,9 proc. do 5,0 proc. Niby maleńko – bo w liczbach bezwzględnych to przyrost klientów pośredniaków tylko o 3,2 tys. – ale anomalia dowodzi tego, że ekonomiczni spece Tuska już czynią cuda.

● Jednym z takich cudotwórców jest Sebastian Mikosz, zwany od jakiegoś czasu Obajtkiem Tuska. Premier od kilku miesięcy co chwila zmuszany jest przez dziennikarzy do opowiadania, jak to bardzo Mikoszowi ufa. Dlaczego – nie bardzo wiadomo, bo Mikosz jest znany głównie ze snucia pięknych wizji, zwolnień i takiej rozpierduchy w PLL LOT (którymi za poprzedniej Platformy kierował), że firma uznawana była za bankruta. Mikosz załapał się na prezesowanie kenijskim liniom lotniczym; wyleciał po dwóch latach. Potem znalazł się w strukturze światowego regulatora lotnictwa IATA. Też wyleciał. I dopiero w marcu, dzięki zostaniu szefem Poczty Polskiej, spadł na cztery łapy. Oczywiście o poczcie facet pojęcia nie ma, ale o zwalnianiu i owszem. Najpierw odwołał z rady nadzorczej dwóch przedstawicieli pracowników, a teraz szykuje się do wylania z pracy 10 tysięcy następnych. Na kolejne 30 tysięcy odejść liczy w związku z tym, że planuje inwestycje, co sprawi, że braknie kasy na podwyżki, dzięki czemu ludzie sami się zwolnią. Inwestycje mają spowodować przekształcenie placówek w większych miastach w komercyjne galerie ze sklepami i restauracjami, a na prowincji w lokalne sklepy, noszące – pewnie ku czci partii lansującej Mikosza – nazwę Centrów Obsługi Obywatela.

● Po październikowych wyborach Czarzasty się nie wahał: *Jeżeli chodzi o CBA, jeżeli chodzi o IPN, uważam, że te instytucje powinny być zlikwidowane.* W kwestii zamknięcia Instytutu Pamięci Narodowej wtórował mu Grzegorz Schetyna. Wiadomo, że zlikwidować IPN się nie da, bo będzie weto Dudy. Czemu jednak nie wziąć pisowskiego szańca głodem? Trudne by to nie było, bo IPN wisi w całości na przychodach z budżetu. A na dodatek NIK skontrolowała wydatki centrali IPN i wyszło jej, że 25 proc. puszczono *z naruszeniem zasad gospodarowania środkami publicznymi.* W ogłoszonych właśnie budżetowych przymiarkach widać jednak, że nikt z rządzących nie chce zrobić policji historycznej krzywdy: w 2025 roku ma ona otrzymać 580 mln zł. Najzabawniejsze jednak jest dodanie przez urzędników Ministerstwa Finansów stwierdzenia, iż oznacza to zmniejszenie budżetu IPN w *stosunku do 2024 roku, kiedy zaplanowano na jego wydatki 0,65 mld zł.* Zaplanowano – owszem, ale nowa władza w styczniu zredukowała to do dokładnie tych samych 580 mln zł, które IPN ma dostać w przyszłym roku, by móc udowadniać zaprzaństwo dziadków z Wehrmachtu i komuchów ze Służby Polsce oraz gloryfikować Świętokrzyską Brygadę NSZ i innych „Burych".

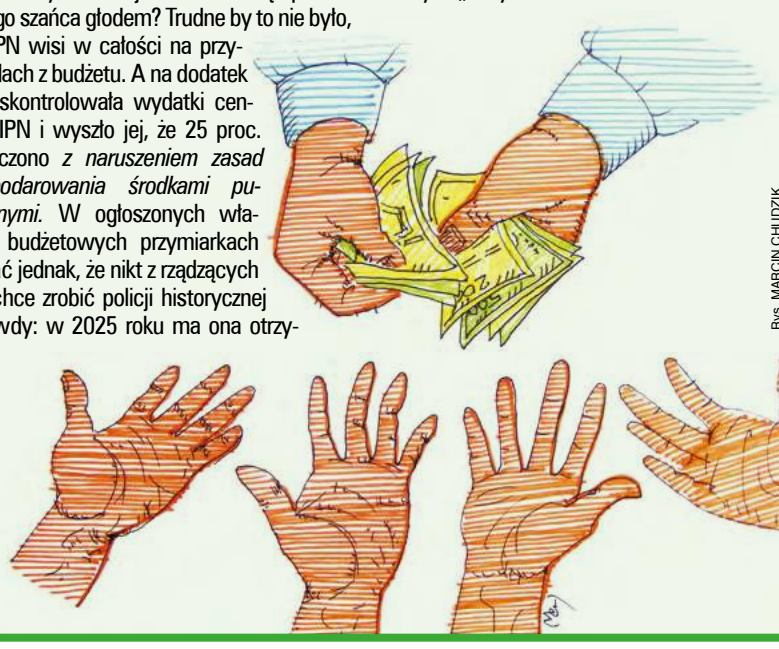

Rys. MARCIN CHUDZIK

● Pieniądze podatników pójdą też na inne pisowskie instytucje. 150 mln zł ma trafić do finansowanej z abonamentu KRRiT i do Krajowego Instytutu Mediów – powołanego przez PiS w 2020 r. – na *ochronę wolności słowa, prawa do informacji oraz interesu publicznego w radiofonii i telewizji.* Jak można dawać kasę instytucji stricte partyjnej, którą na dodatek rok temu NIK rozniosła w pył? Izba *negatywnie oceniła działalność Krajowego Instytutu Mediów we wszystkich zbadanych obszarach.* I dodała, że w Instytucie brak planów zatrudnienia i *zmienna struktura organizacyjna de facto pozwalały zatrudnić dowolną osobę na dowolnie stworzone stanowisko.* A także, iż w KIM uzyskano w sposób nieuprawniony *obligacje Skarbu Państwa o wartości blisko 60 mln zł – zawyżonej o ponad 11,2 mln zł w stosunku do wartości netto zadań, które miały być sfinansowane za środki z ich zbycia. W konsekwencji w przyszłości Skarb Państwa będzie musiał wydać nieadekwatnie wyższe, w stosunku do wartości zadania, środki publiczne na wykup tychże obligacji.* I tak dalej i dalej… Procedury są takie, że członków rady i Świrskiego nikt w przyszłym roku nie ruszy. Rząd płaci więc Świrskiemu, by mógł zatrudniać kumpli i najdroższe kancelarie prawne, które będą kombinowały, jak tu rządowi zatruć życie.

TTJ

eprasa.pl 1cbc9cf06b

ETYKA BEZBOŻNA

Kohać PiS!

Z imprezy Trzaskowskiego „Campus Polska Przyszłości” przebił się głównie filmik, na którym młodzież, jak co roku, podskakuje do słynnego transowego kawałka zatytułowanego „J…ć PiS!”. Oczywiście to niesprawiedliwe, gdy dużą imprezę sprowadza się do czegoś tak marginalnego, lecz takie są prawa życia publicznego. Wystarczy jedna niestosowna wypowiedź czy incydent, aby kontaminacji, zwanej też zbrukaniem, uległ cały kontekst. Na to właśnie liczy PiS, obsobaczając środowisko Platformy jako bandę chamów i żuli, co to chcą j….ć PiS. I do pewnego stopnia odnosi sukces. Publika czuje się bowiem zgorszona brzydkimi słowami. Że niby z PiS to można odbywać stosunek płciowy (nie pytajcie, jakiej to to jest płci i jakie ma organy, ale zawsze jakaś dziura się znajdzie), ale żeby zaraz j…ć? A fe! No, fe. Tu pełna zgoda. Natomiast co do brzydkiego słowa, to sprawa nie jest taka prosta.

Może i incydent na obozie narybkowym u Trzaska jest dość błahy, lecz ogólniejszej natury zagadnienie używania mocnych słów w polityce bynajmniej nie jest bez znaczenia. I trzeba tu sobie kilka rzeczy wyjaśnić. Otóż w życiu publicznym panuje bardzo naiwne rozumienie dwóch ważnych pojęć: kultury osobistej oraz sprawiedliwości. Naiwne, bo polegające na bezmyślnym stosowaniu symetrii. A wygląda to tak. Skoro kulturalni ludzie nie przeklinają i nie używają wyzwisk, to nie wolno brzydko mówić na żadnego polityka. Nawet na ostatniego łajdaka. No, chyba, że on sam nas zbluzgał. Ale jeśli nie zbluzgał (co byłoby naganne), to mu się żadne wyzwiska nie należą. Każdy bowiem ma swoją godność i nikogo nie wolno obrażać. Inaczej mówiąc, nie ma znaczenia kontekst, czyli powody i okoliczności, z powodu których użyto wyzwiska. Jest to zawsze naganne, i to naganne w tym samym stopniu. Kultura obowiązuje! Skoro więc PiS nie drze się: „J…ć PO!”, to i jego przeciwnikom nie wolno wydzierać się wulgarnymi przyśpiewkami.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Niestety, jest to koncepcja z gruntu bałamutna i głupia. Używanie wyzwisk bywa uzasadnione i bynajmniej nie tylko w ten sposób, że wcześniej wyzwiska użyła druga strona. Ba, nawet lepiej nie odpowiadać wyzwiskiem na wyzwisko, by nie zniżać się, jak to się powiada, do poziomu przeciwnika.

Krzyk i wulgaryzmy są na miejscu, gdy komunikują opresję i rozpacz kogoś skrzywdzonego przez silniejszego. Taki ktoś nie może się bronić, jest bezradny i dlatego krzyczy. Ma do tego prawo. Hasło „Jebać PiS!” (już bez kropek) stało się zawołaniem czarnych protestów po ogłoszeniu przez trybunał Julii Przyłębskiej w październiku 2020 r. „wyroku”, w myśl którego aborcja ciężko uszkodzonego płodu jest przestępstwem (deliktem konstytucyjnym). Kobiety zostały zaatakowane w swojej godności i podstawowych prawach, wobec czego wyraziły swoją złość między innymi tym właśnie hasłem. Agresywnymi słowami odpowiedziały na agresję polityczną i religijną, w obliczu której pozostawały w zasadzie bezsilne. Miały pełne prawo do gniewu i gniewnych słów. A że wydarzenia z roku 2020 i 2021 bardzo mocno wpisały się w pamięć i świadomość polityczną młodego pokolenia polskich kobiet,

„Jebać PiS!” stało się czymś więcej niż wyzwiskiem. Stało się znakiem tożsamości wielkiej grupy obywateli, hasłem, które pomimo swej wulgarności przetrwa zapewne jako jeden z symboli oporu społecznego przeciwko reżimowi Jarosława Kaczyńskiego.

I właśnie dlatego młodzież na olsztyńskiej imprezie śpiewała „Jebać PiS!”. Śpiewała, bo identyfikuje się z tamtymi protestami, które dla wielu z tych młodych ludzi mogły być pierwszym w życiu doświadczeniem politycznym.

Zarzucanie komuś, że sprzeciwiając się łajdactwu bezkarnej i rozbisurmanionej władzy, używa niewłaściwych słów, jest w najlepszym przypadku głupie. W najgorszym jest kolaboracją. Nie istnieje reguła życia publicznego nakazująca zawsze i do wszystkich odzywać się grzecznie i z szacunkiem. Nie wszystkim uprzejmość i szacunek się należą. Czasami słuszny gniew wymaga odpowiednio ostrych słów. To dziwne, lecz naprawdę wielu ludzi zdaje się tego nie rozumieć. Nie brakuje nawet i takich, którzy sądzą, że gdy ktoś krzyczy i rzuca wyzwiska, to już z tego tylko powodu nie ma racji i jest na straconej pozycji.

Skąd to się bierze? Może po części z naszego mieszczańskiego marzycielstwa. Chcielibyśmy żyć w świecie, gdzie wszyscy ze sobą kulturalnie konwersują, dyskutują, a jak się różnią, to zawsze „pięknie”. No ale świat taki nie jest – i nie zacznie być, gdy łajdacy będą mieli taki przywilej, że ludzie przez nich represjonowani i okradani będą się do nich odzywać z szacunkiem.

Jednakże podstawowy powód, dla którego tak wielu ludziom, nawet niegłosującym na PiS, nie podoba się nasza miłosna przyśpiewka, jest o wiele mniej sympatyczny. Oni po prostu myślą, że PiS to jedna z wielu partii, będąca normalnym i w pełni uprawnionym uczestnikiem życia politycznego. Należy jej się przeto taki sam szacunek jak pozostałym partiom. Przecież ludzie na nich głosują! Cóż, jeśli po tym wszystkim, co się wydarzyło, po tym brutalnym demontażu demokracji i państwa prawa, po tych oszałamiających złodziejstwach, ktoś nadal tak myśli, to chyba nic go już nie przekona i nie zmieni.

Ludzie są, jacy są. A polityka jest polityką. Trzeba się z tym pogodzić. Żeby się więc za bardzo nie podkładać i nie narażać, na wszelki wypadek na przyszły rok zalecałbym uczestnikom Campusu Polska Przyszłości śpiewać „Kochać PiS!”. Sylab tyle samo, znaczy też w zasadzie to samo, a przynajmniej nikt się nie będzie czepiał. A na to, żeby jeszcze zgadzały się te gwiazdki (bo ma być ich osiem), wystarczy popełnić mały błąd ortograficzny i pisać „Kohać PiS”. Nie takie błędy wszak popełniamy!

JAN HARTMAN

Bękart koalicji

Po co nam PSL?

Im bardziej PSL leci na pysk w sondażach, tym bardziej podnosi głowę. Ostatnie miesiące to w wykonaniu partii ludowej popis buty ze sporą dawką samozadowolenia. Głosowanie przeciwko ustawie depenalizującej aborcję, sprzeciw wobec związków partnerskich (i własna inicjatywa projektu ustawy o statusie osoby bliskiej), wywalenie z porządku obrad rządu sprawy poszerzenia Kodeksu karnego o przesłankę mowy nienawiści, enigmatyczne propozycje wprowadzenia wychowania patriotycznego do szkół, jakieś szemrane porozumienie resortu obrony z myśliwymi w sprawie obronności kraju, a na koniec ksenofobiczny popis szefa ludowców na Campusie Polska Przyszłości – to sukcesy PSL-u tylko z ostatnich trzech miesięcy. Czy zauważyli Państwo, że nie ma nic o rolnikach? Tak? No właśnie...

W rolniczej dupie

Opublikowany 13 sierpnia sondaż Pollsteru (na zlecenie „Super Expressu”) odnotował poparcie dla PSL-u na poziomie 1,7 proc. przy 10-procentowym poparciu dla całej Trzeciej Drogi (i 8,8 proc. dla Polski 2050, gdyby poszła do wyborów sama).

W sondażu CBOS z 30 sierpnia robi się jeszcze ciekawiej. Cała Trzecia Droga uciułała w nim ledwie 6 proc. Ten sondaż nie uwzględnia jednak podziału na Polskę 2050 i PSL, więc nie wiadomo, ile z tych 6 proc. przypadłoby ludowcom. Mniemać jednak można, że niewiele. Szczególnie jeżeli spojrzy się na preferencje mieszkańców wsi i najmniejszych miast (poniżej 20 tys. mieszkańców) – spośród nich na Trzecią Drogę głosowałoby odpowiednio 5 i 3 proc. (licząc optymistycznie fifty-fifty, PSL-owi przypadłoby z tego 2,5 i 1,5 proc.). Ale najciekawiej wyglądają preferencje w grupach zawodowych. Otóż ze strony tych, do których reprezentowania powołało się kiedyś PSL, czyli rolników, cała Trzecia Droga może dziś liczyć na poparcie w wysokości – uwaga, uwaga! – 0 proc. Tu co prawda również nie wiadomo, ile z tego zera przypada na PSL, ale nam wychodzi, że też zero. Czyli mówiąc wprost: rolnicy mają w dupie PSL.

No cóż, jeżeli partia ludowa zajmuje się tym, czym się zajmuje, to nas nie dziwi, że rolnicy mają ją w aż tak głębokim poważaniu, a i mieszkańcy wsi i małych miast – w niewiele płytszym.

A jednak partia o szorującym po dnie poparciu, niereprezentująca dziś już nikogo, nie tylko uczestniczy w rządach, ale wręcz o obliczu tych rządów decyduje, zwłaszcza w tak wrażliwych sprawach społecznych, o których powiedzieliśmy na wstępie.

Cała nadzieja w tym, że sondaże odzwierciedlają rzeczywisty trend i sejmowe dni PSL-u są już policzone.

Zbędny balast

Będąc na miejscu Władysława Kosiniaka-Kamysza, widząc spadające na mordę notowania, staralibyśmy się zrobić coś, by jakoś odbić się od dna. Jednak ani pan prezes, ani nikt z peeselowskiej wierchuszki, nie robią w tym kierunku nic. A nawet wprost przeciwnie – robią wszystko, by zrazić do siebie możliwie najwięcej osób. Nie będziemy już powtarzać, co mówi się o PSL-u w gronach proaborcyjnych aktywistek albo w społecznościach LGBT.

Kosiniak-Kamysz chyba nie ma złudzeń, że jego partia samodzielnie może się nie załapać na kolejne parlamentarne rozdanie. Także trwanie w koalicji z Polską 2050 może okazać się zbyt optymistycznym założeniem. Nie tylko dlatego, że w świetle ostatniego sondażu CBOS poparcie dla koalicji TD nie pozwala jej przekroczyć progu. Także z tego powodu, że ta egzotyczna cokolwiek koalicja trwa, dopóki Szymonowi Hołowni potrzebne są peeselowskie struktury na wypadek przyszłorocznych wyborów prezydenckich – jeżeli w ogóle zdecyduje się w nich wystartować. Później mogą się okazać już nie tak potrzebne. PSL coraz bardziej jawi się zbędnym balastem, ciągnącym Polskę 2050 w dół. Myśląc o wzroście notowań swojej formacji, Hołownia może zdecydować się na zrzucenie balastu.

Nie wierzymy też, by premier Donald Tusk nie miał poczucia, że PSL jest balastem dla całej koalicji 15 października. Przecież to on musi świecić oczami i tłumaczyć się z peeselowskiej obstrukcji przed tymi, którym coś obiecał – wyborcami. Tak jak ostatnio, kiedy przyznał, że w tej kadencji może w ogóle nie być sejmowej większość do uchwalenia nowej ustawy aborcyjnej (pisaliśmy o tym w poprzednim numerze). Czyż nie ma poczucia, że przez zatwardziałość towarzystwa z PSL-u wychodzi – ujmując rzecz delikatnie – na kogoś, kto składa obietnice bez pokrycia? I najgorsze w tym, że na razie arytmetyka sejmowa nie pozwala na pozbycie się tego zbędnego balastu. Co czyni go jednak niezbędnym, ku uciesze samych ludowców i zmartwieniu całej reszty koalicji.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Święta ciotka prezesa

Swoje posunięcia PSL uprzejme jest tłumaczyć a to chęcią ułatwiania ludziom życia, a to tradycją, a to katolicką moralnością, a to jeszcze innymi podobnymi pierdołami. Rzecz w tym, że jeszcze nikt nie wyjaśnił, o jakich tradycjach mowa. Tak samo, jak nikt jeszcze nie uzasadnił, dlaczego upierdliwe przeszkadzanie ludziom w życiu ma być tegoż życia ułatwianiem.

Te slogany, którymi szafują peeselowcy, tak naprawdę zdają się nie mieć żadnego znaczenia. Najważniejsze bowiem jest to, co zarządzi pan prezes Kosiniak-Kamysz. Pan prezes zaś zarządzi tak, by PSL nie przyłożył ręki do niczego, co stoi ością w gardle Kościołowi kat. i jego funkcjonariuszom. Ani tradycja, ani inne podobne dyrdymały nie mają z tym nic wspólnego. Ma za to z tym dużo wspólnego ciotka prezesa, niejaka Stefania Łącka, bardziej znana jako „Anioł z Auschwitz”. Kosiniak-Kamysz bardzo ponoć pragnie mieć świętą ciotkę.

Nawet na początku czerwca wziął udział w uroczystym zakończeniu procesu beatyfikacyjnego cioci Stefci w diecezji tarnowskiej, gdzie kumał się z tamtejszym biskupem Andrzejem Jeżem. Tak, tym samym, który w kwietniu usłyszał prokuratorskie zarzuty w sprawie ukrywania pedofilskich czynów dwóch księży – jego podwładnych.

Ciocia wsławiła się tym, że będąc więźniarką obozu Auchwitz-Birkenau pomagała innym więźniom. Jej proces beatyfikacyjny jest w toku, papiery poszły do Watykanu i właściwie tylko patrzeć, kiedy zostanie wyniesiona na ołtarze. Więc nie będzie ani aborcji, ani związków partnerskich, bo personel naziemny Pana B. nigdy by tego Kosiniakowi-Kamyszowi nie wybaczył i z beatyfikacji ciotki byłyby nici. A święta ciotka – a choćby tylko błogosławiona, jak w tym przypadku – to nie w kij dmuchał! Każdy chciałby taką mieć. Więc, sorry, kobitki! Będziecie rodzić dzieci z mózgami na wierzchu lub w ogóle bez, albo będziecie umierać na sepsę z powodu obumarcia płodu. Sorry, lesby, pedały i inni popaprańcy! Będziecie nadal żyć na kocią łapę, nie wiedząc, kiedy odmówią wam informacji o stanie zdrowia partnera, pozbawią spadku po nim albo odbiorą dziecko, które wspólnie przez lata wychowywaliście. Sorry, uczniowie, ale nadal będą was katować jakimś wychowaniem patriotycznym, które będzie tym różnić się od pisowskiego, że wprowadzi je inna partia. Ale zrozumcie! Wasze rozpasane roszczenia muszą ustąpić przed racją prezesa Władysława. To jest sytuacja wyższej konieczności, bo cała Polska czeka na beatyfikację cioci Stefci. Całe społeczeństwo pragnie kolejnej błogosławionej, zwłaszcza jeśli jej pociotkiem jest sam prezes ludowców i wicepremier w jednej osobie.

Ideowo bezideowi

Byłoby miło, gdyby za stanowiskiem PSL-u stała rzeczywista ideowość. Ale nie stoi, bo to partia bezideowa. Nie reprezentuje też nikogo, bo chłopstwa rozumianego jako klasa społeczna właściwie w Polsce już nie ma. Rolnicy ustąpili miejsca producentom rolnym. Zresztą ktokolwiek kryje się pod pojęciem „rolnicy” użytym w sondażu CBOS, to – jak widać – PSL nie jest ich partią. Stronnictwo reprezentuje więc dziś tylko siebie – swoich własnych funkcjonariuszy, a ich szczęśliwy byt przy korycie czy to centralnym, czy to lokalnym jest dobrem najwyższym i obecnie jedynym celem istnienia partii.

Nikt chyba nie wierzy w PSL-owskie zaklęcia o tradycji, katolickiej moralności, patriotyzmie i różnych takich oraz chęci ułatwiania ludziom życia. Jeżeli dołożymy do tego prywatę prezesa w postaci posiadania świętej ciotki, to mamy pełny obraz hipokryzji i zarazem bezczelności ludowców – partii, która we współczesnym krajobrazie politycznym Polski staje się zupełnie zbędna. Jeżeli bowiem wszyscy wyborcy koalicji 15 października głosowali po to, żeby odsunąć od władzy PiS, to partia, która zachowuje się jak PiS, nie jest w koalicji do niczego potrzebna. Nie potrzeba nam paru facetów i kilku ich koleżanek w sejmie i rządzie, jeżeli realizują oni tylko swoje własne cele, a mają gdzieś społeczne postulaty.

A skoro już o tradycji i moralności katolickiej mowa, to pisarz i publicysta Jacek Dehnel w rozmowie z „Onet rano” 4 lipca zauważył, że Kosiniak-Kamysz jako rozwodnik i powtórnie ożeniony absolutnie zaprzecza tym tak zwanym wartościom, które usiłuje obecnie na sztandary partii wynosić. *Z punktu widzenia tradycji Kosiniak-Kamysz żyje w grzechu, a jego dzieci to bękarty* – powiedział.

EDYTA BAKER

eprasa.pl 1cbc9cf06b

Klauzula zdurnienia

Nowe przepisy w sprawie aborcji wcale nie są nowe

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Minister zdrowia Izabela Leszczyna dokonała możliwego – polskie szpitale chyba wreszcie zaczną przestrzegać obowiązującego prawa aborcyjnego. Reakcje przedstawicieli środowiska medycznego nie pozostawiają złudzeń, że w korporacji lekarskiej drzemie równy biskupiemu antykobiecy zamordyzm.

Odgrzewanie kotletów

Rząd, ratując swój wizerunek po porażce z obiecanym dostępem do legalnych skrobanek, ogłosił „nowe" wytyczne dla lekarzy dotyczące przerywania ciąży. 30 sierpnia Donald Tusk, mając u boku ministra sprawiedliwości Adama Bodnara i minister zdrowia Izabelę Leszczynę, oznajmił na konferencji prasowej: *Skoro nie możemy szeroko otworzyć tej bramy z powodu braku większości w sejmie, otwieramy furtki. Lekarze muszą czuć, że kiedy staną po stronie kobiety, prokuratura też stanie po ich stronie, a nie po stronie złych przepisów.*

Srali muchy, będzie wiosna.

Rewolucji nie ma, bo prawo się nie zmienia. Ministerstwo Zdrowia po symbolicznych dziewięciu (o ironio) miesiącach pod nowymi rządami ogłosiło de facto to, co zostało zapisane w rozporządzeniu z maja 2024 r.

A mianowicie, że szpitale z kontraktami NFZ mają obowiązek wykonywania terminacji ciąży, gdy jest to dopuszczalne przepisami powszechnie obowiązującego prawa. Co więcej, jest to już nawet przedmiotem kontroli, a wobec niektórych szpitali orzeczono pierwsze kary. Żeby było jeszcze mniej zabawnie, zarówno premier Tusk, jak i ministrowie obydwu wspomnianych resortów, potwierdzili tym samym, że wydany przez wadliwy Trybunał Konstytucyjny wyrok wykreślający jedną z przesłanek do pozbycia się płodu wciąż obowiązuje – choć wcześniej cała opozycja krzyczała jednym głosem, że jest nielegalny. Czego się jednak nie robi dla pięknych pań.

Bejcowanie trupa

W ustawie wciąż figurują dwie stare przesłanki do legalnej skrobanki: gwałt oraz zagrożenie zdrowia i życia nosicielki płodu. Druga z przesłanek przez lata była zwykle interpretowana na korzyść zlepka komórek, a nie matki, czego skutkiem było trwałe kalectwo bądź zgony w męczarniach wielu nieszczęśliwych mamuś. Stare w nowej odsłonie ma wyeliminować interpretacyjne babole tak, by do niewygodnych politycznie, tfu!, przykrych incydentów nie dochodziło. Tym samym: zagrożenie zdrowia i życia traktowane są nierozłącznie, zagrożenie zdrowia psychicznego jest taką samą przesłanką do aborcji jak zagrożenie zdrowia fizycznego, i zagrożenie to nie musi być ani nagłe, ani bezpośrednie.

Są też dwie wisienki na torcie – nie ma ograniczenia co do specjalizacji lekarza, który wystawi glejt o istnieniu ważnego powodu do wydłubania niepożądanej galarety; musi to być po prostu lekarz specjalizacji właściwej do choroby kobiety będącej w ciąży. Wystarczy jeden kwit od specjalisty. Szpital, do którego zgłosi się pacjentka, nie tylko nie musi, ale nawet nie powinien zwoływać konsylium w tej sprawie, ani wymagać od ciężarnej dodatkowych opinii.

Zdumienie faktem, że ciążę zagrażającą zdrowiu i życiu kobiety można przerwać także po 12. tygodniu wyraził rzecznik prasowy Naczelnej Izby Lekarskiej, członek Prezydium Okręgowej Rady Lekarskiej w Lublinie, lekarz oraz gwiazda Kanału Zero (to wszystko jedna osoba) Jakub Kosikowski. I nie był sam. Środowisko medyczne dostało wkurwu.

Skrobankomaty

Tak, usunięcie zdrowej ciąży w sytuacji, kiedy dziecko ma już zdolność do życia poza jamą macicy, uważałbym za krok za daleko – obwieścił w swoich social mediach Kosikowski i dorzucił do pieca: *Ja nie twierdzę, że każde wskazanie jest lewe (i dobrze, że są takie wyjścia w sytuacji np. wad letalnych), tylko że są lekarze, co na tym robią kasę. I można im skoczyć, a teraz proceder pewnie się rozszerzy i tyle. Mam realne spojrzenie na sprawę.* Bo według Kosikowskiego *po receptomatach, marihuanomatach, opioidomatach wjedzie kolejny big cash biznes – aborcjomaty. Były głosy, że w październiku 2020 w konsekwencji wyroku zalegalizowano aborcję na NFZ, no to właśnie jest to potwierdzane. Wielkie „zwycięstwo" obrońców życia, wahadło wróciło.*

Naprawdę nie wiadomo, czy śmiać się, czy wyrzygać. Żyjemy w kraju, w którym ok. 150 tys. ciąż ląduje w domowym kiblu dzięki przeprowadzanej na lewo aborcji farmakologicznej, a część z kobiet, które decydują się bachora urodzić, dosłownie naraża swoje zdrowie i życie w przypadku wszelkiej maści komplikacji. Żeby w takich realiach uznać, że teraz wszystkie ciężarne rzucą się do psychiatrów po kwitek zaświadczający o pierdolcu, który umożliwi skrobanie się w państwowej placówce zdrowia – trzeba mieć wyobraźnię kościelnego inkwizytora.

Oburzeniu Kosikowskiego przyklasnął eksprzewodniczący Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy Krzysztof Bukiel. *Wyrok TK nie ma tutaj nic do rzeczy. Do rzeczy ma wola Pana Tuska, który dla bycia premierem jest gotowy sprzedać swoją duszę diabłu i zezwolił na oczywiste łamanie prawa przez „panią od polskiego", którą zrobił ministrem zdrowia* – napisał w serwisie X i wrzucił petycję z apelem do prezydenta Dudy o powstrzymanie bezprawnych wytycznych aborcyjnych. Nagle się okazało, że zdrowie psychiczne to nie zdrowie, psychiatrzy to nie lekarze, a baby dla własnej radochy masowo zaczną zachodzić w ciąże, żeby pozbyć się płodu – najlepiej krótko przed rozwiązaniem.

Będzie lepiej albo i nie

Formalizacja starych przepisów nie spodobała się również krajowemu konsultantowi ds. ginekologii i położnictwa prof. Krzysztofowi Czajkowskiemu. Czajkowski też miał pierdolca na punkcie kupowania zaświadczeń w internecie, tyle że takich, które potwierdzały u ciężarnych tokofobię (lęk przed ciążą i porodem), co uprawniało pacjentki do rozwiązania ciąży metodą cesarskiego cięcia, zamiast wielogodzinnego wypychania dzieciaka siłami natury. Dwa tygodnie temu Ministerstwo Zdrowia postanowiło ulżyć prof. Czajkowskiemu w cierpieniu i zdjęło z profesorskich barków ciężar konsultowania. Ponoć ministerstwo szuka teraz na stołek konsultanta ds. ginekologii i położnictwa kobiety. Daj borze szumiący…

Ruch resortu jest dupochronem – i chodzi bardziej o dupę władzy niż kobiet.

Oczywiście, może być tak, że dzięki wyłuszczonym wytycznym rzadziej będziemy słyszeć o kolejnej pacjentce z gnijącym bezczaszkowym truchłem między nogami – choć to żaden pewnik. Zanim na podstawie kar nałożonych na placówki odmawiające aborcji zostanie ustanowiony precedens, do którego dostosują się inni, upłynie wiele wody w Wiśle. Ciężko też uwierzyć, że ordynatorzy, którzy chwalą się, że od przeszło 30 lat na ich oddziałach nie wykonano skrobanki, nagle z radością zaczną wygrzebywać problem z macic. Jako że każdy kij ma dwa końce – warto się też zastanowić, czy odświeżone przepisy nie zamkną drogi do powszechnie legalnej aborcji. Leszczyna i Tusk, chcąc nie chcąc, klepnęli kolejny kulawy kompromis. Wilk syty, a kobiety wyruchane.

IDALIA DUBICKA

Rys. WIDGET

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wkurwiły pisowców groszowe przelewy na rachunek partii. Prezes Kaczyński wykrzywił usta w charakterystycznym uśmieszku i orzekł: *Przygotowywana jest akcja wpłacania po kilka groszy, żeby nam utrudnić sytuację, ale my będziemy mieli z tego korzyść, ponieważ będziemy wiedzieć, gdzie są Silni Razem. I to jest też dla nas ważne.*

Można zrozumieć irytację Kaczyńskiego, który jest człowiekiem starej daty i pojęcie „nielegalnego przetwarzania danych osobowych" kojarzy mu się bardziej z Wielkim Zderzaczem Hadronów niż z łamaniem prawa. Ale że równie niedzisiejszy jest młodszy, uchodzący za lepiej wykształconego i bardziej europejskiego Tobiasz Bocheński – tego mało kto się spodziewał. Najwidoczniej jednak Bocheński tak chciał się podlizać szefowi partii, że olał prawo (które zresztą skończył na Uniwersytecie Łódzkim), przyzwoitość i dobre obyczaje, bo napisał na X: *Pan premier Jarosław Kaczyński: akcja wpłacania po 1 groszu by utrudnić działania Prawa i Sprawiedliwości, to przekazanie nam danych teleadresowych Silni Razem. Dziękujemy. Będziemy wiedzieć, gdzie są.*

Nie wiadomo już, który pisowski kandydat na kandydata na prezydenta jest gorszy: Nawrocki, który kumpluje się z bandziorem, czy Bocheński, który przyjaźni się z brakiem rozumu. A może po prostu stary dobry Błaszczak, który jaki jest, każdy widzi.

eprasa.pl 1cbc9cf06b

Grzywnowładni

KRRiT udowadnia, że Konstytucja RP stała się zabytkiem piśmiennictwa.

Artykuł 213 konstytucji stanowi, że Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji stoi na straży wolności słowa, prawa do informacji oraz interesu publicznego w radiofonii i telewizji. Stoi dziś, tak jak stała, gdy TVP przejmował Kurski.

Wtedy na czele „Wiadomości" brylowała Marzena Paczuska, a internet zarykiwał się ze śmiechu nad obrazem świata pokazywanym o 19.30. Dowiadywaliśmy się, że rząd Szydło nie dość, że ma w składzie samych geniuszy, to wszystko, czego się dotknie, zamienia w sukces Polski i Polaków. Opozycja była zła i złośliwa, ale zagranica dawała posłuch jej wrażym knowaniom. Do Warszawy zaś zjeżdżali różni oficjele, którzy zajmowali czas ministrom, prezydentowi, a nawet pani premier tylko po to, by po takich spotkaniach wyjeżdżać z przekonaniem, że demokracja nad Wisłą kwitnie.

Rys. WIDGET

Rany Ukraińców, bąki papieża

Na czele KRRiT stał wówczas niezwiązany z PiS Jan Dworak, owiany nimbem antykomunistycznego dziennikarza niezłomnego. Facetowi kadencja kończyła się dopiero we wrześniu 2016 r., więc mógł, a nawet musiał coś z kurskimi porządkami w TVP zrobić. No to zrobił – zamówił u naukowców analizę audycji informacyjnych nadawanych przez TVN, Polsat i Telewizję Polską. Badania miały dać odpowiedź na pytanie, czy główne wydania serwisu informacyjnego Telewizji Polskiej cechują się – jak im każe ustawa – *pluralizmem, bezstronnością, wyważeniem i niezależnością oraz innowacyjnością, wysoką jakością i integralnością przekazu.*

Gdyby wyniki audytu okazały się dla TVPiS niekorzystne, Rada mogłaby sięgnąć do arsenału kar, do którego sięgała już nieraz. Mogłaby nałożyć na Spółkę Telewizja Polska S.A. choćby 100 tys. złotych jak we wrześniu 2014 r. Wtedy telewizji publicznej dostało się za *naruszenia przepisów regulujących rozpowszechnianie przekazów handlowych*. Konkretnie zaś za to, że w trakcie emisji seriali „Klan" oraz „Na dobre i na złe" *rozpowszechniane były w dolnej części ekranu komunikaty będące w ocenie KRRiT autopromocją.* Żeby tam tylko. W jednym z odcinków „Klanu" Rada dopatrzyła się *nadmiernej ekspozycji, polegającej na nienaturalnym wkomponowaniu w treść audycji lokowanego produktu w taki sposób, że stał się on tematem głównym. Dialog bohaterów został skonstruowany w celu prezentacji produktu, a odniesienia do zasadniczej treści audycji i relacji wzajemnych bohaterów były jedynie tłem i pretekstem do tej prezentacji.*

Rys. JANUARY

Rada była bowiem nader skrupulatna. Potwierdzało to kolejne 100 tys. zł kary, przywalonej miesiąc wcześniej. Tym razem za *nieuzasadnioną emisję drastycznych scen* w TVP INFO. Strażnicy z KRRiT nie przepuścili programowi z cyklu „Jan Pospieszalski: BLIŻEJ" poświęconemu sytuacji na Ukrainie. Uznali, że niedopuszczalne jest skupianie przekazu na *wyrazistym i dokładnym pokazywaniu krwawych ran czy scen śmierci*, szczególnie *poprzez stosowanie zbliżeń czy powtórzeń.* Martwili się, że pokazywanie ran i trupów *banalizuje śmierć i odbiera jej głęboki duchowy sens.* Nie omieszkali też wspomnieć o *godności i intymności* ofiar i o *poczuciu przerażenia oraz zagrożenia, szczególnie u małoletnich odbiorców.* Sto tysiaków przelanych z pieniędzy abonentów na rachunek Skarbu Państwa uznano za sprawiedliwe zadośćuczynienie.

Konstytucyjną czujność Rada wykazała także w przypadku audycji „Tylko dla dorosłych" z roku 2013, w której Kabaret Limo ujawnił światu, że papież puszcza bąki. KRRiT stwierdziła, że *satyra nie może naruszać godności ludzkiej, a satyryczna forma wypowiedzi nie zawsze jest wystarczającym usprawiedliwieniem dla takich naruszeń, niezależnie wobec kogo i o jakiej porze zostały dokonane* i ukarała telewizję publiczną grzywną w kwocie 5000 złotych.

Nie widzą, nie słyszą i nie mówią

W 2016 r. naukowi eksperci obejrzeli osiem wydań „Wiadomości", „Faktów" i „Wydarzeń" i wysmarowali zamówioną przez KRRiT ekspertyzę. Wyszło im, że *wymóg pluralizmu informacji i punktów widzenia w analizowanych wydaniach Wiadomości realizowany był w zakresie ograniczonym.* Jako przykład podali news o proteście przed Pałacem Prezydenckim przeciwko nowelizacji ustawy o policji: protest pokazano poprawnie, ale *relacja reportera starała się odwrócić uwagę od jego istoty i zdyskredytować protestujących, przez co widz nie uzyskał rzeczowej informacji o celach protestujących.*

Potem dla kurwizji było już tylko gorzej. Wymóg *bezstronności relacji w żadnej istotnej kwestii politycznej nie został dotrzymany.* Przykład: *relacja z powołania tzw. podkomisji smoleńskiej, zrealizowana całkowicie z perspektywy ministra powołującego, pomijająca i ukrywająca wszelkie okoliczności, które mogłyby podważyć wiarygodność jego deklaracji, co dobitnie wyeksponowały media komercyjne.*

Wymóg wyważenia w „Wiadomościach" nie był przestrzegany; realizacji ustawowego wymogu niezależności analitycy też się nie dopatrzyli. Znaleźli za to dwa dowody na jego *jednoznaczne naruszenie.* Pierwszy dotyczył *kości niezgody* pomiędzy Warszawą a Londynem, którą miał być szef Rady Europejskiej Donald Tusk; drugi – wypowiedzi Tomasza Arabskiego, która miała wykazywać, że Tusk odpuścił sprowadzenie wraku tupolewa, by nie zrobić dobrze PiS-owi. Zdaniem autorów analizy *oba materiały w takim kształcie nie powinny zostać zakwalifikowane do emisji.*

Na koniec zaś wyszło im, że *niedociągnięcia na odcinku innowacyjności i jakości wynikają z braków warsztatu dziennikarskiego.*

Skoro za zdjęcia truposzów było sto tysięcy, za reklamy tyle samo, a za papieskie wiatry 5 tysięcy – to jaka kara powinna spotkać TVP za totalne i uporczywe łamanie ustawy? Pół miliona? Milion? A może utrata koncesji dla TVP 1, bo i taką karę przewidywała ustawa?

Przewodniczący KRRiT Dworak zdobył się jedynie na publiczne odczytanie analizy. I stwierdzenie, że *w ostatnich miesiącach skala zwolnień w mediach publicznych była bezprecedensowa i o charakterze politycznym, co było eksponowane przez osoby podejmujące decyzje o zwolnieniach.*

Kurski z szefem instytucji, która mogła stację zamknąć, się nie patyczkował. W oświadczeniu TVP analizę Rady określono jako *obelgi niepoparte żadnymi rzetelnymi badaniami.* Po konstytucyjnym organie telewizja kurska woziła się jak po łysej kobyle: *Bierność KRRiT w obecnym składzie wobec działań poprzednich władz i jej przyzwolenie na deptanie wolności słowa, prawa do informacji i przede wszystkim bezstronności mediów publicznych, skompromitowały to gremium i odebrały mu moralne prawo do zabierania głosu...*

Bezczynność Dworaka dowodziła braku dwóch rzeczy: jaj i mocnego, ustawowego uniezależnienia członków KRRiT. Takiego jak w przypadku sędziów Trybunału Konstytucyjnego, gdzie po skończeniu kadencji każdy przechodzi na wysoką emeryturę. Dworak doskonale wiedział, że we wrześniu 2016 r. straci posadę. Coroczne sprawozdanie Rady zostanie odrzucone przez sejm, senat i prezydenta. A to oznaczało dla reszty jej członków zieloną trawkę. Wiedzieli, że będą wkrótce musieli szukać roboty w mediach. I liczyli, że jeśli nie będą wierzgać za bardzo, to załapią się do Polsatu, a nawet TVN-u. Mieli przecież cechy tak cenione w korporacjach. Nadmierną surowość wobec słabszych i absolutny dupowłazizm wobec hegemona.

Pobrzękiwanie ustawą

Nauki z tamtego czasu wyciągnął szefujący dzisiejszej KRRiT Maciej Świrski, zwany talibem PiS i inni nominaci tej partii. Oni jednak wiedzą, że na robotę nie mają szans – z wyjątkiem nielicznych redakcji miłujących jeszcze Kaczyńskiego. Dlatego, nie chcąc popełnić błędu Dworaka, robią co mogą, by partia była z nich zadowolona. Stąd memoranda o nielegalności nowych władz TVP, no i wstrzymanie przekazywania na Woronicza kasy z abonamentu.

Za to w karaniu nie są zbyt wyrywni.

Pierwsza kara, jaką KRRiT przyłożyła w nowej rzeczywistości medialnej, nie trafiła w przejętą przez rząd Tuska TVP, tylko w nadawcę show „AlkoMaster 2 Wesele". Wynosiła 149 tys. zł i ogłoszono ją w lutym.

„AlkoMaster" to format patoinfluencingu, w którym znani internetowi celebryci pojedynkowali się w konkurencji wypicia jak największej ilości alkoholu. Galę po raz pierwszy zorganizowano w 2021 r. i była do obejrzenia w sieci za kasę. Później materiał trafił do serwisu You Tube, gdzie szybko osiągnął 375,5 tys. wyświetleń. W uzasadnieniu kary KRRiT podkreśliła, że na jej wysokość wpływ miał charakter treści: *propagowanie działań sprzecznych z prawem, tj. publiczne spożywanie wysokoprocentowych napojów alkoholowych i ich eksponowanie*, a także *propagowanie zachowań niemoralnych* oraz, o zgrozo, *stosowanie wulgaryzmów*.

Z początkiem marca pisowska KRRiT zrobiła to, czego oczekiwali jej mocodawcy polityczni i 39 613 osób, które podpisały się pod 6058 wystąpieniami w formie maili, formularzy ze strony internetowej, zgłoszeń przez platformę ePUAP i listów wysyłanych tradycyjną pocztą. Osoby te wyrażały swój sprzeciw wobec treści zawartych w reportażu TVN „Bielmo. Franciszkańska 3". Materiał był o tym, że w latach 1964–1978 metropolita krakowski kardynał Karol Wojtyła tuszował pedofilię podległych mu księży. Krajowa Rada i jej eksperci uznali, że problem jest większy niż papieskie bąki, albowiem reportaż złamał prawo zobowiązujące do *szanowania przekonań religijnych odbiorców, a zwłaszcza chrześcijańskiego systemu wartości.* Za coś takiego Świrski przyłożył TVN 550 tys. zł kary. Oczywiście telewizja poszła z kwitem KRRiT do sądu, ale nim kwit spłynął do jakiegokolwiek sędziego, Świrski zgarnął całą kwotę na rzecz państwa, miłego wszak TVN-owi.

Świrski rusza w bój

Dopiero trzecia z kar świrskiej KRRiT dotyczyła TVP, choć właściwie nie tyle instytucji, co fizycznego obywatela. 25 marca likwidator TVP Daniel Gorgosz *w związku z dwukrotną odmową udzielenia informacji m.in. na temat kosztów realizacji misji TVP* otrzymał karę w wysokości 145 200 zł. W komunikacie wskazano, że *postawa prezentowana przez Daniela Maksymiliana Gorgosza jest nieakceptowalna w demokratycznym państwie prawa, w którym nie może mieć miejsca sytuacja, iż podmiot odmawia udzielenia informacji organowi państwa uprawnionemu do ich otrzymania.* Gorgosz decyzję zaskarżył, ale na jego prywatne konto komornik nie wlazł.

Kilka dni po ukaraniu Gorgosza

KRRiT nałożyła na TVN karę w wysokości 19 526,45 zł za obecność wulgaryzmu w programie „Szkło kontaktowe" z 15 maja 2023 roku. Poszło o komentarz Krzysztofa Daukszewicza: *Chyba ja pierdolnąłem głupotę.*

Rozpowszechnianie przekazów zawierających wulgaryzmy prowadzi do propagowania niecenzuralnego słownictwa oraz sprzyja utrwalaniu nieakceptowalnych zachowań społecznych – napisała Rada, dodając, że pierdolnięcie Daukszewicza zostało uznane za wyższe niż znikome.

W sierpniu, po raz pierwszy od 10 lat, KRRiT nałożyła karę na reklamy w TVP. Konkretnie zaś za to, że w TVP Nauka przekroczono dopuszczalny czas emisji reklam o całe 49 sekund. Rada wyceniła to 40 tys. zł, co miało pokazywać, że konstytucyjny organ żyje i ma się dobrze.

Rys. JANUARY

W maju ówczesny minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz skierował wniosek o postawienie Świrskiego przed Trybunałem Stanu, dwa sądy, rozpatrujące kary nałożone dawno temu przez świrską KRRiT, uznały, że były niesłuszne; chodziło o 80 tys. zł dla „Faktów" TVN i 476 tys. dla Radia Zet. Pisowskich członków rady to nie ruszyło. Tak jak i to, że sejm i senat odrzuciły ich sprawozdanie za 2023 rok. Ważne, że kwit nie został zakwestionowany przez Andrzeja Dudę. Za rok sytuacja się powtórzy. To zaś znaczy, że Świrski et consortes jeszcze przez 2 lata będą pobierać milutkie pieniądze.

Co jednak nie oznacza, że poza wymachiwaniem karami uwalanymi potem przez sądy, coś będą mogli. Udowadniając po raz kolejny, że KRRiT nie jest żadnym konstytucyjnym strażnikiem, ale idiotyczną atrapą prawną, która w gruncie rzeczy, poza gestami i kopaniem youtuberów, nic nie mogła, nie może i móc nie będzie.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 1cbc9cf06b

Ostatnia wojna światowa

O szkodliwości historii

Szanowny Panie,

chciałbym Pana poinformować, o czym zapewne może już Pan wie, że dziadek Pańskiego sąsiada, którego ów jest wnukiem, to był złodziej. Kradł wszystko, co należało do Pańskiej rodziny. Kury, gęsi, kaczki, świnie, wiadra z blachy ocynkowanej, rowery, a także inne mniej ważne majętności, jak książki i obrazy. W swej niepohamowanej chciwości kanalia ta czego nie ukradła, puszczała z dymem. Koniecznie musi Pan wiedzieć, że dziadek Pana sąsiada był też seryjnym mordercą, który bez wyraźnej przyczyny, dla zabawy, rozstrzeliwał bezbronne dzieci na oczach ich ciężarnych matek. Uzbrojony w drewnianą pałkę roztrzaskiwał czaszki starców. Mordował także wszystkich, którzy jemu się sprzeciwiali. Raził ich prądem, wykłuwał oczy, wieszał w miejscach publicznych, truł dla frajdy, a na dodatek kazał im sobie samym kopać groby. Jeszcze nie skończyłem, proszę Szanownego Pana!

Pański sąsiad miał dziadka, który wykorzystywał swoją uprzywilejowaną pozycję, aby członków Pańskiej rodziny gnać do niewolniczej roboty, trwającej kilkanaście godzin na dobę, bez jakiegokolwiek wynagrodzenia. Ba, notorycznie ich głodził. Wystawiał na działanie mrozu , a także odmawiał szklanki wody w upały – co miało tylko taki sens, żeby zamęczyć ich na śmierć.

Dom, w którym Pan mieszka, został zburzony przez dziadka sąsiada wraz z fundamentami. Pańska szkoła wraz z uczniami, w granatowych mundurkach z białymi kołnierzykami, zmielona została przez to półdiablę w perzynę. Fabryka, w której Pański dziadek zarabiał na chleb, została rozkradziona i strawiona ogniem. Nie są to oczywiście wszystkie zbrodnie tego skurwysyna. Natomiast nie możemy nie zauważyć, że tacie Pana sąsiada i wnukowi bardzo się od tego poprawiło.

Niech Pan zobaczy, jak rodzina, której protoplaści byli zbrodniarzami, a przynajmniej psychopatami, dobrze sobie radzi. Te piękne samochody, wille, wyrafinowana technika! Moglibyśmy żyć w sprawiedliwszym świecie, bo niestety na tym bandytyzm popłaca.

Ja Panu proponuję, wie Pan, abyś tego swojego sąsiada poprosił o pieniądze. No, żeby mógł Pan zapalić świeczki na grobach przez niego pomordowanych i wyremontować nagrobki, bo przecież Pana na to nie stać. Te pieniądze od potomków mordercy się Panu po prostu należą. Nie należy się krygować z żądaniem płacenia.

Niech Pan to przemyśli.

Żeby Pan nie zapomniał, to list podobnej treści wyślę do Pana za pół roku, potem za osiem miesięcy, a potem za rok. I tak będzie co roku. I za pięć, dziesięć lat, dwadzieścia, trzydzieści pięć. Listy tej treści, z częstotliwością raz na kwartał, dostawać będą również Pańskie dzieci i dzieci tych dzieci. I nawet, jak wieki przeminą, ktoś taki jak ja wysyłać będzie trzykroć rocznie, co wyżej napisano. Aha, no i tak w zasadzie to powinien Pan pojednać się ze swoim sąsiadem. Żyć z nim, tak jakby wspomniane fakty z życia jego dziadka były niebyłe.

Gdybyś otrzymał takie pismo, uznałbyś, że autor ma kuku na muniu. Być może nawet nie kwestionowałbyś faktów, ale pomysł, aby potomek mordercy sponsorował wieńce na grobie ofiar i że masz traktować progeniturę zbrodniarzy, jakby ich ojcowie nie byli mordercami, uznałbyś za nieludzki. Przepełniony psychologicznym nieprawdopodobieństwem. Nie można pamiętać, nie pamiętając, wybaczać, nie wybaczając.

Rys. TOMASZ WIATER

Remont Oświęcimia

To jest oczywiście refleksja, jaka przyszła mi do głowy, kiedy w wieczornym dzienniku, po raz pięćdziesiąty któryś w życiu, dowiedziałem się i ujrzałem, że Schleswig-Holstein ostrzeliwuje Westerplatte! Niemieccy żołnierze znowu wyłamują biało-czerwony szlaban z takimż orłem. Heinkel 111 bombarduje Warszawę. Kawaleria ciągnąca na wózkach dziecięcych cekaemy Maxima rusza z odsieczą walczącym nad Bzurą.

Pomyślałem sobie: *No kurwa! Ile można?!* A potem przeczytałem artykuł w „Rzeczpospolitej", że niejaki dr Wojciech Konończuk z Ośrodka Studiów Wschodnich domaga się kolejnych miliardów od Niemców na remont Oświęcimia, bo to jest słuszne, godne i sprawiedliwe.

Mamy problem natury intelektualnej, moralnej i międzyludzkiej. Urodzeni 1 września 1939 roku skończyli 85 lat. Tych, którzy pamiętają wojnę, czyli w wieku powyżej 100 lat (w momencie wybuchu byli prawie dorośli) mamy w Polsce circa 4 tysiące. Jest to pamięć hipotetyczna, ponieważ 85 proc. stulatków dotkniętych jest jakimś rodzajem demencji. Można stwierdzić, że 100 proc. społeczeństwa nie pamięta wojny, a już na pewno nie brało w niej udziału. Również po tamtych stronach granic takowych już nie ma.

To przypominanie o wojennych okropieństwach jest nie tyle wywoływaniem czegoś z pamięci, co implementacją przebrzmiałych faktów w zupełnie nieznające ich umysły. Ta polityka informacyjna i roszczeniowa, niemająca nic wspólnego z obecnie zamieszkującymi Niemcy, Polskę i Ukrainę, to jest transformacja chorobotwórczej traumy. Nikt, kto prowadzi ową i jest za nią odpowiedzialny, nie wyjaśnia, jak Polacy mają sobie z tym radzić?

Jako społeczeństwo jesteśmy skażeni paralogicznym myśleniem o wojnie, okupacji i holokauście.

Rzeczy gorsze od Auschwitz

Na witrynie internetowej dr Piotr Cywiński, obecnie zawiadujący byłym obozem w Oświęcimiu, cytuje jednego z więźniów, Henry'ego Appla: *Jest tylko jedna rzecz gorsza od samego Auschwitz… Jeżeli świat zapomni, że takie miejsce istniało*. To jest bezrozumność w czystej formie, ponieważ gorszym od zapomnienia i od samego Auschwitz, byłoby powstanie jakiegoś Auschwitz II.

Nie sposób zrozumieć powojennej Europy i świata bez dogłębnej konfrontacji swojego wyobrażenia o człowieku z pozostałościami Auschwitz – kontynuuje swoje zawodowe mądrości Cywiński.

A ja powiem: nie sposób zrozumieć Europy i świata również po dogłębnej konfrontacji swojego wyobrażenia o człowieku z pozostałościami Auschwitz.

Tak naprawdę bowiem,

ci, co byli w stanie i może drugowojenność zrozumieli, już nie istnieją. Kolejne pokolenia Polaków faszerowane są przez historyków pracujących zza biurka publikacjami coraz bardziej niedorzecznymi i gołosłownymi,

a co najgorsze – tworzonymi w warunkach braku, ze względu na młody wiek, wiedzy życiowej.

Z półrocza: *Hitler umówił się ze Stalinem w kwestii wywołania II wojny światowej; Rosjanie przegrali II wojnę światową; Niemcy nie są odpowiedzialni za mordy Żydów, gdyż za czasów III Rzeszy nie był to fakt powszechnie znany; Hitler nie wiedział o holokauście*… Wszystkie te wywody pełne są faktów, które traktowane bezkrytycznie, są przekonywujące. Tyle że nie wytrzymują próby życia. Niezdolność odróżniania prawdy od jej pozorów historykom, nawet z doktoratami, bardzo doskwiera.

Wojna po prostu niepotrzebna

Ta mająca już 80 lat polityka kulturowa – „Nie zapomnimy", „Pamiętamy", kiedyś było jeszcze „Pomścimy" – ustanawia nas w wielce ambiwalentnej sytuacji. Podobnej do schizofrenii. No bo co? Mamy kochać tych Niemców i Ukraińców czy ich nienawidzić? Przyjaźnić się czy ostrzyć na nich kosy? Brać od nich forsę czy się nią brzydzić?

Czego my tak naprawdę chcemy? A czego od oprawców naszych dziadków oczekujemy? Co byłoby uczciwe, a co jest niegodziwością? Zagubiliśmy się wśród tych dylematów. Nieodnaleziona słuszność przykryta jest jeszcze współczesnymi egoistycznymi interesami. Jakby dali, to może kasę wziąć?

Czy ta polityka zapamiętywania i przypominania, która miała zapobiec zdarzeniom podobnego rodzaju raz na zawsze, jest w ogóle słuszna? Widząc, co dzieje się na wschodzie, wydaje się, że nie. Tam w umysłach obu narodów wielka wojna ojczyźniana żyła zawsze, a teraz powróciła w nowej odsłonie. Praktycznej. Każde pokolenie zdaje się popełniać te same błędy.

Prawdziwą ocenę tamtych wydarzeń wyraził jak dotąd chyba tylko Winston Churchill w rozmowie z prezydentem Rooseveltem: *Jeżeli mam określić jednym słowem tę wojnę, to była to po prostu wojna niepotrzebna*.

Od przekonywania ludzi o bezużyteczności wojen powinniśmy wyjść. Historycy – i tak przecież rozmiłowani w dziejowych konfabulacjach – mogliby wymyślać, jakby musiało się dziać, żeby to, co było, nie zaistniało. Potem proponuję denazyfikację. Ongiś wojna z lat 1914–1918 nazywana była wielką wojną. Po 1945 roku nazwano ją I wojną światową, aby tą kolejną można było mianować II wojną światową. To implikuje, że będzie jakaś „trzecia", a może i „czwarta wojna światowa".

Gdyby II wojnę światową nazywać ostatnią wojną światową, mentalna zgoda na kolejny konflikt byłaby nie do pomyślenia. Jeżeli nie, drugowojenną traumę zastąpi dopiero trauma trzeciowojenna, po kolejnej niepotrzebnej wojnie. Albo w 2941 roku fetować będą radośnie tysiąclecie istnienia byłego obozu śmierci Auschwitz-Birkenau.

ROBERT JARUGA

Bogaci i biedni

SŁOWO CZERWONE

Inspekcja Pracy magnaterii nie podskoczy

Skąd się biorą biedni w kraju nieustającego sukcesu i wzrostu gospodarczego? To proste: kiedy jedni biorą sobie za dużo, dla kogoś musi nie wystarczyć.

Co piąta polska rodzina pożycza u lichwiarzy (chwilówki), żeby przeżyć do pierwszego. Tymczasem statystyczny dochód na mieszkańca Warszawy jest wyższy niż w Helsinkach, Wiedniu czy Madrycie.

I bieda wcale nie musi wynikać z niskich kwalifikacji czy nawet bardzo niskich dochodów. Wystarczy być zmuszonym do wynajmowania mieszkania w dużym mieście, takim jak Warszawa, żeby żyć na styk, a nawet popaść w pętlę zadłużenia. Zgłosiła się do nas po pomoc pani w średnim wieku samotnie wychowująca córkę, której nominalny dochód wynosi 7000 zł na rękę. Zarządza projektami technologicznymi, ale nie może związać końca z końcem, bo 4000 zł wydaje na wynajem mieszkania. Kiedy miała udar i nie pracowała, popadła w długi. Zmuszona do zaciągnięcia lichwiarskiej pożyczki – popadła w nędzę. Kiedy po zapłaceniu czynszu i rat kredytu nie wystarcza jej na życie, nie może się zgłosić po zasiłek, bo nominalnie ma bardzo wysoki dochód.

Osoba, która jej wynajmuje dwupokojowe mieszkanie, ma takich mieszkań 10. Zarabia więc, nie kiwając palcem, 40 tysięcy miesięcznie. To się nazywa wyzysk czynszowy.

Lokatorzy wynajmujący na wolnym rynku skazani są na niedostatek, wzbogacając owocami swej wytężonej pracy właścicieli.

Pewien biznesmen zarządza parkingami w Śródmieściu, wygrywając od niepamiętnych czasów przetargi. Pracownikom płaci połowę stawki ustawowej. Obliczyliśmy, że przez ostatnich 9 lat okradł w ten sposób swoich pracowników na jakieś 200 milionów złotych, które zainwestował w nieruchomości. Ludzie się nie buntują, bo to zwykle starsze, często zadłużone osoby, dla których ta robota jest koniecznością. Zwłaszcza, że szef „pozwala" im pracować za te zaniżone stawki często dwa razy więcej godzin, niż przewidują przepisy prawa pracy.

A zatem koleś doi pracowników, a potem lokatorów. Gromadzi bez większego wysiłku bajeczną fortunę. Ale ta fortuna bierze się z zaniżonych wypłat i zawyżonych czynszów.

Starszy pan mieszka w podwarszawskich Łomiankach w kontenerze. W strasznych warunkach i musi za ten „luksus" płacić niewolniczą, nieopłacaną pracą. Gdyby odmówił tej pańszczyzny, wyleciałby z kontenera na ulicę.

Różnice majątkowe wyznaczają układ sił. Właściciele rządzą, niewłaściciele muszą się podporządkować. Ostatnio przyszedł do nas na skargę imigrant. Kiedy po przepracowaniu miesiąca w piekarni przyszedł po wypłatę, dostał po mordzie zamiast pieniędzy. Policja go wyśmiała. Jest przecież czarnoskóry.

Witalij, Białorusin, jest stolarzem. Pracował w firmie w Babicach pod Warszawą. Odszedł, kiedy się zorientował, że nie płacą. Metoda jest prosta: pracują, dopóki się nie upomną o wypłatę. Wtedy są zwalniani i zatrudnia się następnych.

Jest niestety wielu takich pracodawców, którzy płacą mało i niechętnie. A czasami nie płacą wcale. W małych firmach – takich, w których wynagrodzenia nie są podawane przez GUS i nie wliczają się do średniej krajowej – przepisy i płacę minimalną omija się przez pracę na czarno albo na cząstki etatu, mimo że wymaga się pracy w pełnym wymiarze.

Omijanie przepisów jest tym łatwiejsze, że nikogo to nie obchodzi. Inspekcja Pracy to jakaś fikcja. W sądach pracy systematycznie likwiduje się wydziały pracy, więc do sądu jest coraz dalej i coraz odleglejsze są terminy rozpraw. Słowem, całe prawo pracy staje się fikcją.

Na pracy piekarza z Dahomeju, stolarza z Białorusi, lokatora z kontenera i parkingowych ze Śródmieścia rosną majątki „ludzi sukcesu". To ich przedstawiciele zasiadają w sejmie i w samorządzie, żeby przypilnować tego, czego magnateria żądała zawsze: „Większej pańszczyzny i niższych podatków".

PIOTR IKONOWICZ

REKLAMA

eprasa.pl 1cbc9cf06b

PLURALIS MAIESTATIS

Relacja własna z dołka

Pół gwiazdki

Kibla, umywalki – brak. Doradzam, aby wstawić choć wiadro. Usłyszałam, jak policjanci rozmawiają ze sobą, że UE też to doradza, a właściwie to nakazuje, aby polskie areszty przysposobić do cywilizowanych standardów, czyli zamontować w każdej celi kibelek i umywalkę.

Jakiś czas temu napisałam felieton o aresztanckich dolach i niedolach księdza „Salcesona" Olszewskiego. „Ręka Boga" zdecydowała, że 31 lipca bieżącego roku ja i moja 80-letnia mama trafiłyśmy do aresztu policyjnego w Łodzi.

Pierwsze wrażenie, kiedy zatrzasnęły się za mną drzwi celi, było całkiem niezłe: pomieszczenie wielkości mojego pokoju przy ulicy Hipotecznej 25. Okno identycznych rozmiarów, ale sufit znacznie wyższy. Niebieski, cienki materac oparty o ścianę – dla mnie spoko, gorzej dla mojej mamy. Trudno z niego w wieku 80 lat podnosić się godnie. Koce – szare, wojskowe. Z wielkimi dziurami, ale nieśmierdzące. Ściany białe, umiarkowanie ufajdane – skłaniające umysł do kontemplacji. Stolik i stołek – pod oknem, osiatkowanym i zaklejonym instrukcją obsługi dołka przez aresztanta – przyśrubowane do podłogi sprawiają, że człowiek zaczyna marzyć o podróżach na potężnych transatlantykach. Policjanci pilnują, aby skołowany osadzony nie wykombinował sobie podróży do wieczności. Robią to solidnie, aczkolwiek prędkie zapoznanie się ze śrubami pod blatem stolika uświadomiło mi, że rzeczone wystające śruby przy odpowiednim użyciu i odrobinie precyzji mogą stanowić solidny bilet w jedną stronę.

Światło, kamerka, wizjer. Dzwonek w ścianie, zaklejony gumą do żucia, służący do przywoływania room service'u.

Żarcie… Problemem jest dostęp do płynów. Szczególnie kiedy jest upalnie. Ja przez te godziny dostałam dwie herbaty w plastikowym kubku – jedną do kolacji, drugą do śniadania. Gorąco, człowiek poci się jak świnia – można się odwodnić. Jedzenie z cateringu. Wieczorem – pierogi. Sztućce – plastikowa łyżka. Nie zjadłam, jako że zwinięto mnie we francuskiej koszuli i nie chciałam jej uwalić tłuszczem.

Zwinięto mnie również w butach ze sznurówkami, więc w rezultacie musiałam kicać po piętrach w ogromnych męskich klapkach kąpielowych. Pamiętajcie, kobiety – nigdy nie wybierajcie się na dołek z kolczykami w uszach! Wyjąć to ustrojstwo trzęsącymi się dłońmi to wyższa szkoła jazdy.

Ale wracając do rzeczy istotniejszej niż ozdoby, czyli do żarcia. Śniadanie – zajebista bułeczka z cateringu. Sałata, serek, pomidorek, rewelacja! Nie ironizuję – mama do szkoły dawała mi grube kawałki chleba z żółtym serem, owinięte w papier maszynowy. Czego jak czego, ale papieru maszynowego w domu mojego dzieciństwa było pod dostatkiem. Z mamy zaś żadna kucharka, sprzątaczka czy pedagog – tak bywa, gdy ktoś tak jak ona wychowuje się w domu, który zatrudnia i kucharkę, i panią do sprzątania, i nianię.

Odwożąca mnie na dołek policjantka dała mi radę godną zbawienia dla tej mundurowej – najlepiej pobyt na dołku przespać. Prawda, nudno tu jak chuj. Owijasz się w koce, żeby światło cię nie raziło, i lulajże, lulajże… Jasne, jest gorąco i trzeba rozpracować tak śliski materac, żeby dupka się nie zsuwała, mącąc sny. Przed snem to ja lubię sobie poczytać. Poprosiłam o książkę. Liczyłam jako nieskruszała, a tym bardziej nieskruszona grzesznica na Biblię. Jako dziennikarka dostałam kwartalnik dotyczący Łodzi i starej łódzkiej prasy. Panowie chcieli dobrze, skąd mogli wiedzieć, że nie trawię tego miasta? A już artykuł o ulicy Limanowskiego (Łódź-Bałuty) szarpnął mną potężnie. Smród, brud i ubóstwo. Potwierdzam, choć ponoć to teraz atrybuty klasy średniej.

Mama zniosła dołek gorzej. Wieczorem skoczyło jej ciśnienie i dowiedziała się, że leki, które zabrała z domu, może dostać dopiero rano do śniadania. Takie przepisy. Jako, że to słyszałam – mama była w celi obok, to wydzwoniłam policjantów. Zapytałam ich, co będzie, jak matka dostanie udaru albo zawału. No, mają ją na ekraniku. Jak będzie źle, to zadzwonią po karetkę… Aha!

W efekcie mojego protestu panowie mieli nieprzespaną noc – gapili się na mamusię, chodzącą po klatce jak tygrysica, i co i rusz zaglądali do niej, aby sprawdzić, w jakiej jest kondycji. Była wkurwiona! W dodatku żołądek jej wysiadł… Ja wydzwoniłam się grzecznie do kibelka ze trzy razy. Kibelek jak na starym dworcu PKP w Krakowie. Jeden z aresztantów się wydzierał, że prysznic nie działa. O mydle czy paście do zębów – zapomnijcie. Ale niejeden raz człowiek po imprezie przespał się na brudasa, więc nie róbmy sensacji.

Mama dała upust swojej frustracji ubijając na ścianie prusaka. Po uwolnieniu powiedziała, że nie chciała mówić policjantom, że mają cele zarobaczywione, bo będzie im przykro. Im, bo prusakowi to na pewno nie. Kiedy przyszedł po mnie policjant, aby mnie wypisać mogłam mu tylko podziękować. Odparł, że starają się trzymać „standardu pół gwiazdki".

Pół gwiazdki i jeden prusak – jest dobrze. Na parterze dołka spotkałam moją rozradowaną matkę. W bardziej euforycznym nastroju byli tylko gospodarze, którzy z wielką ulgą nas się pozbywali. Kiedy wychodziłyśmy – ja w tej swojej francuskiej zielonej koszuli w białe kwiaty, a mama z siwymi włosami do tyłka (szpilki też są na dołku *verboten*) natknęłyśmy się na policjanta i nowego aresztanta. Aresztant rzekł: *A co tu się odjebało?!* Moja niezrównana matka ćwierknęła: *Wchodźcie, wchodźcie, panowie, to areszt, a nie zakład pogrzebowy!*

A dalej: „nasi" policjanci, kajdanki, prokuratura… Ksiądz „Salceson" Olszewski to cienias. A polski system prawny produkuje nieszczęśników – po obu stronach celi. Chujowo w takich warunkach siedzieć i chujowo w takich warunkach pracować.

IZABELA SZOLC

Walkow

Brednie o imigrantach

Nie dotykaj gówna, bo śmierdzi – to przytargane ze wsi powiedzonko wybornie obrazuje kwestię polityki migracyjnej w oczach polityków w naszym kraju. Doskonale przedstawia to raport Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka (HFPC) dotyczący narracji o migracjach w kampanii do tegorocznych wyborów samorządowych. Wynika z jego jednoznacznie, że na antyimigranckich – szczególnie antyukraińskich – sentymentach skupia się zwłaszcza Konfederacja budująca konsekwentnie swoje nacjonalistyczne zaplecze.

Teoria wielkiego zastąpienia

Skoro samorządowcy głównego nurtu unikają mówienia o imigracji, oddają pole skrajnej prawicy, która gra na nastrojach brunatnych, nie tylko je wyrażając, ale i znacząco wzmacniając. Czyni to w sposób absurdalny, lecz konsekwentny i dość skuteczny, bo jej pseudo idee przenikają do głównego nurtu. To opowieść o bredniach, które podbijają polskie serca i umysły. Warto się nad nimi pochylić, by wiedzieć, jaki wiatr hula po głowach rodaków.

Czego obawia się Polak, rzecz jasna katolik, o skórze białej jak śnieg? Boi się tego, że Polska się skończy tak jak *Szwecji już nie ma*, *Francji już nie ma*. Wierzy w legendy miejskie o *zepsutym Zachodzie*, gdzie wyznawcy islamu dominują społecznie i politycznie, rugując rdzennych mieszkańców. Że kolorowi to przestępcy w ogóle, a gwałciciele w szczególności, zaś (na to bym nie wpadła) tabletka „dzień po" to przykrywka dla zagrożenia przemocą seksualną. A nawet jak nie są to gwałciciele, to są to powodujący wypadki kierowcy, zresztą – jak mówił Przemysław Wipler z Konfederacji – „niemówiący po polsku" kierowcy Ubera budzą strach w Polkach.

Tu pojawia się teoria spiskowa: znana od lat tzw. teoria wielkiego zastąpienia. Że Polaków, rzesze Januszów i Grażyn, zastąpią muzułmanie, kolorowi, Ukraińcy – ten temat grzeją psycho-prawicowcy na całym niemal świecie. Posługują

Krynica najprawdziwszej p

Te laurki są pisane dla pieniędzy

„Kolejna ofiara oszustwa metody na wnuczka!", „Fałszywy prokurator wyłudził milion!", „Na internetowym romansie z amerykańskim żołnierzem straciła 200 tysięcy!". Takimi tytułami niemal każdego tygodnia walą po oczach portale internetowe. Te uchodzące za ostoję prawdy i obiektywizmu – oczywiście też. I słusznie, wszak ostrzeganie przed naciągaczami dybiącymi na kasę naiwnych jest chwalebne nader.

Jednak w przypadku większości portali, celem takich publikacji jest coś jeszcze. Coś, co idealnie wpisuje się w zwrot „łapaj złodzieja".

Rzetelność odmładzającej ampułki

Moja wiekowa już znajoma jest zaprzysięgłą miłośniczką krynicy prawdy, czyli antypisowskich portali. Nieustannie dzwoni, by podzielić się kolejnymi walącymi w partię Kaczyńskiego gównoburzami, które wyczytała. Streszcza teksty, cytując obficie, jakby powoływała się na publikacje naukowe. Ostatnio jednak w jej telefonach pojawił się zupełnie inny temat.

Zaczęła opowiadać, co kupiła. Raz rozpływała się nad jakimś kremem. Raz nad jakimiś preparatami do rozjaśniania plamek starczych, a jeszcze kiedy indziej – o jakimś specyfiku w ampułce do ujędrniania twarzy.

Faktura twarzy znajomej od dziesięcioleci przypomina tę, jaką miał Charles Bronson, więc jej nagłe zainteresowanie pielęgnacją było co najmniej dziwne. Po głowie zaczęły mi łazić puzzle, które skleiły się, dopiero gdy oznajmiła, że kupiła genialny saturator.

Wiedziałem, że wszystko, co do tej pory mi opisywała, gdzieś już widziałem. Teraz wpadłem na to gdzie.

Ten krem kosztuje grosze, a usuwa plamki starcze niczym laser. 70-latki go kochają – tak brzmiał przecież jeden z tytułów materiałów na portalu internetowym, który pojawiał się zawsze, gdy przeglądałem sieć.

Ta odmładzająca ampułka działa niczym zabieg w salonie. Jędrna skóra gwarantowana – natychmiast przed oczami stanęło mi i takie zajawienie. A tuż potem *hit kosmetyczny radykalnie usuwa plamki starcze. Teraz za 17 zł! 70-latki robią zapasy.* Gdy jednak zacząłem googlować saturator, natychmiast wyskoczyło coś takiego *Uwielbiasz wodę gazowaną? Kup do domu saturator.*

Wszystkie te materiały były poupychane między informacjami o wojsku, policji, dobrym rządzie i złym PiS-ie, i jeszcze gorszym Putinie. Nad żadnym nie było cienia wzmianki, że to reklama, promocja czy inny wciskacz kitu.

Każdy z materiałów był podpisany znanym z imienia i nazwiska autorem. A skoro tak, to tak dla mojej znajomej, jak i setek tysięcy innych konsumentów pracy dziennikarskiej miał taki sam status jak inne informacje, felietony czy publicystyka. Był wiarygodnym, obiektywnym tekstem, nad którym dziennikarz czy dziennikarka zjedli zęby wielokroć, weryfikując wszystko, aby dojść do prawdy. Uwiarygadniać ma to informacja, że *tekst powstał w redakcji* – tu dwa angielskie słowa, których jak ktoś nie zna języka, to nie zrozumie, a znaczą one po prostu „zawartość komercyjna" – *i zawiera linki reklamowe naszego partnera.* Oczywiście gdyby ktoś zarzucił, że reklama nie jest oznaczona jako reklama, to przed sądem takie coś ma szansę się obronić. Ale nieznająca angielskiego i myków prawnych babcia o tym, że czyta reklamę, po prostu nie wie.

Rys. OBYWATEL JANEK

Jak odstresować naskórek

Idealny krem na przebarwienia za grosze ma oczywiście w tekście swoją nazwę i producenta. Ma też to, co każdemu czytającemu powinno od razu wybić z głowy wszelkie myślenie o jego obiektywizmie. Radosny bełkot speca od reklamy mówiący, że to *zaawansowany produkt stworzony z myślą o osobach borykających się z przebarwieniami i plamkami starczymi. Ten krem jest idealnym rozwiązaniem dla osób z dojrzałą cerą, które pragną skutecznie poprawić koloryt skóry oraz chronić ją przed szkodliwym działaniem słońca.* Bo jak w opisie czegoś jest zwrot *zaawansowany produkt* będący *idealnym rozwiązaniem* – to musi to być reklama. Pojawić się też powinny mądrobrzmiące składniki. I się pojawiają. Jest niacynamid mający *właściwości przeciwzapalne*. Jest *unikalny składnik bazowy*, czyli torf *wzbogacony w naturalne minerały, witaminy i mikroelementy, które wspomagają odnowę komórkową.* Mamy też *filtry organiczne zapewniające bardzo wysoką ochronę*

eprasa.pl 1cbc9cf06b

ver dla Konfederacji

się oni takimi określeniami jak „fala”, „zalew” czy „inwazja”. Pewien podkarpacki konfederata mówił, że na problemy demograficzne nie wolno reagować *podmianą populacji, która w ostatnim czasie miała miejsce*.

A może być jeszcze gorzej.

Podobno Polacy mogą iść na wojnę za wschodnią granicą, bo młodzi Ukraińcy uciekają przed poborem. Wielu rodaków uważa, że warto by ich ciupasem oddać Zełenskiemu, piekąc dwie pieczenie na jednym ogniu – walcząc z Ruskimi, ale nade wszystko oczyszczając etnicznie Polskę.

Rys. WIDGET

Polak u siebie panem

Tu jest Polska, ty tu nie masz żadnych praw – usłyszał swego czasu w pociągu pewien niebiały człowiek, chyba Hindus, który domagał się możliwości zajęcia wykupionego przez siebie miejsca w przedziale. Na miejscu dumnie zasiadał nieposiadający miejscówki, sączący browar potomek husarii. Rzecz działa się parę lat temu w pociągu relacji Wrocław–Kraków. Ciąg dalszy poniekąd nastąpił. Kiedy wysiadłam na dworcu w Krakowie, zobaczyłam ciekawą sytuację, gdy bezdomny żul wyzywał od banderowców i chujów młodego Ukraińca, który mu poskąpił na piwo.

Obaj młodzi Polacy uznali, że kimkolwiek by nie byli, jakiego by miejsca nie zajmowali w hierarchii społecznej kraju, mają kogoś, nad kim mogą wykazać swoją wyższość. Tak samo sądzi niejeden Helmut z byłego NRD w Niemczech, czy biały Joe z zapyziałej dziury na Środkowym Wschodzie USA.

Z niepokojem obserwuję wzrost rasizmu i antyukraińskich uczuć na polskich ulicach, a przecież nie poruszam się w jakichś szczególnie ksenofobicznych środowiskach. Większość kolorowych i w ogóle obcokrajowców, z którymi się stykam, to studenci z Afryki i byłego Związku Radzieckiego: Ukrainy czy Gruzji, a także kurierzy czy kierowcy aplikacji taksówkarskich o imieniu Grigorij, Ahmed czy Ihor. Nie wspomnę już o wiecznie uśmiechniętej sprzątaczce z Ukrainy, którą mijam, gdy wychodzę z bloku przed szóstą rano.

Ryba psuje się od głowy – to politycy odgórnie nastawiają ludzi przeciw sobie, dzielą, aby rządzić. A inny kolor skóry czy odmienny język są widoczne na pierwszy rzut oka czy ucha. Jedynym lekarstwem na niebezpieczeństwa podsycania nastrojów antyimigranckich jest edukacja i rzeczowa rozmowa o tym, czy bez ludzi z Bangladeszu będzie miał kto zbierać owoce na Lubelszczyźnie, sprzątać biura w Warszawie czy dowozić przesyłki do paczkomatów.

Skoro Polakom generalnie niespecjalnie podoba się to, co widzą wokół siebie, pojawia się pokusa, aby kogoś o to obwinić. A najłatwiej obwinić obcych…

KAT

prawdy

przed promieniowaniem UV – ten zwrot, żeby wybrzmiał jeszcze bardziej naukowo, ma w nawiasie coś, czego nikt nie zrozumie, ale będzie miał wrażenie, że ma do czynienia z czymś rewelacyjnym (*SPF 50+ PA+++*). Jakby tego było mało, to w kremie jest i dipeptyd-karnozyna, *składnik, który wspiera ochronę komórek skóry przed stresem oksydacyjnym.* No i *multiroślinny antyoksydant chroniący skórę przed szkodliwymi skutkami działania wolnych rodników.*

A teraz uwaga – według medycyny do stresu oksydacyjnego dochodzi, kiedy w organizmie zaburzona jest równowaga pomiędzy ilością szkodliwych wolnych rodników a przeciwutleniaczy, których zadaniem jest neutralizacja tych pierwszych. Taki stres może on prowadzić m.in. do miażdżycy, udaru mózgu lub zawału serca, zaburzeń wzroku, a także choroby wieńcowej. Ma również duży wpływ na szybsze starzenie się skóry, a nawet zwiększa ryzyko wystąpienia czerniaka. Ponadto pod jego wpływem dochodzi do uszkodzenia neuronów w mózgu, czego efektem jest choroba Parkinsona i choroba Alzheimera.

Jednym słowem stres oksydacyjny jest zły bardzo. Żeby go zwalczyć, medycyna proponuje eliminację szkodliwych czynników oraz doprowadzenie do większej produkcji przeciwutleniaczy w organizmie. Wskazana jest zatem rezygnacja z używek, regularne nawadnianie się, umiarkowana aktywność fizyczna oraz wypracowanie metod radzenia sobie ze stresem. Największą rolę odgrywa jednak dieta: marchew, brokuły, cebula, a także aronia i czerwone porzeczki. Dorze robią też kakao, nasiona chia oraz zielona herbata. O tym, żeby się antyoksydacyjnie nakremowywać, żadne źródło medyczne jakoś nie wspomina.

Zakompleksieni biomimetycznie

Jeszcze ciekawsza jest „publikacja” o *odmładzającej ampułce*.

Naszym ostatnim odkryciem jest ampułka – tu nazwa – *napinająco-ujędrniająca marki takiej a takiej. Przywróci młodszy oraz bardziej promienny wygląd, stymulując komórki do produkcji kolagenu.*

Stymulować komórki ma *witamina E i sok z Yaconu*, a także *sok z aloesu*, który dostarczy *solidnego nawilżenia, a ceramidy zabezpieczą barierę naskórkową.* Jeśli ktoś sądzi, że zmieszanie soków z roślinności z witaminą wystarczy na barierę naskórkową, to jest w błędzie. Dopiero teraz nadchodzi bowiem nokaut nazewniczy. Wszak *innowacyjny kompleks peptydów biomimetycznych, pobudzi odnowę włókien kolagenu i elastyny, przeciwdziałając utracie jędrności i elastyczności skóry, wyostrzając przy tym rysy twarzy. Zawarte w składzie pro- i prebiotyki będą za to przeciwdziałać podrażnieniom.* Oczywiście nikt z tego niczego nie zrozumie, ale chyba każdy przyzna, że *kompleks peptydów biomimetycznych* brzmi niczym czarnoksięskie zaklęcie.

Nikogo pewnie nie zdziwi teraz, że trzeci ze specyfików mojej znajomej, czyli Aktywne Serum Rozjaśniające *działa na wielu poziomach, a jego sukces tkwi w starannie dobranych składnikach.* Serum jest przy tym *bogate w kwas laktobionowy, który znany jest z silnych właściwości rozjaśniających i eksfoliacyjnych.*

Tych, których przeraża nazwa serum, uspokajam. Słowo to nie ma dziś już nic wspólnego z tym, co znaczy według „Słownika języka polskiego”. Nie jest to zatem ani *płynna część krwi pozbawiona włóknika*, ani też znany choćby z „Dżumy” Camusa *preparat leczniczy lub zapobiegawczy zawierający ciała odpornościowe.* Ba, nie jest to też pochodzące z Harry'ego Pottera *serum prawdy.* Bo we współczesnym języku słowo „serum” nie ma żadnego konkretnego znaczenia poza tym, że jest na etykietkach różnych kosmetyków. No i oczywiście w publikacjach, które z prawdą się – co najwyżej – rozmijają.

Zamiast krwi w omawianym serum jest za to równie czarodziejsko jak w książkach J.K. Rawling. Mamy kwas glikolowy *przyspieszający proces regeneracji skóry.* No i *arbutynę*, która *hamuje tyrozynazę, enzym odpowiedzialny za produkcję melaniny.* Na melaninę jest też *kwas kojowy*, co to zmniejsza jej produkcję. Specyfik zawiera też pachnący Hogwartem *ekstrakt z lukrecji*, bo przecież zawiera on *glabrydynę.*

Kobiecy dział najpopularniejszego z portali publikuje również materiał o czarodziejskiej – a jakże – *Megamocnej maści do pięt. Kosztuje 14 zł, a stopy wyglądają jak po pedicure spa w salonie.*

Dlaczego czarodziejskie? Bo *na suche, popękane, zrogowaciałe stopy enzymatyczny krem-maskę* (tu nazwa) *nakłada się jak miękkie wełniane skarpetki i... dzieje się magia.*

Puszczanie gazów

Publicystyka o tytule *Dobry rower elektryczny nie musi kosztować majątku*, opowiada w samych superlatywach o kilku ponoć tanich modelach, ukrywając jednak ich ceny. Jak się jednak pogrzebie w sieci, to można się dowiedzieć, że najdroższy z modeli *niekosztujących majątku* można nabyć już za drobne 12 tys. zł.

Megaobiektywny portal w tekście *Naprawdę niedrogie nawigacje z dożywotnią aktualizacją map* usiłuje wcisnąć urządzenia w cenach od 269 do 600 zł. Ale o cenach tych nie wspomina, tak jak i o tym, że aktualizującą się na bieżąco nawigację za frajer ma się w każdym smartfonie.

Artykuł *Wygląda jak glonojad, umyje okna bez pomocy. Zero smug i zacieków!* jest reklamą urządzenia, które kosztuje ok. 1400 zł.

Publicystyka porównująca dwa telewizory różnych marek nie zauważa żadnej wady. Nawet takiej, że jeden kosztuje 17, a drugi 18 tys. zł.

Wszystko to przebija jednak kupiony przez moją znajomą saturator.

Pozwoli ci zapomnieć o chodzeniu do sklepu po butelkowaną wodę. Nie tylko zaoszczędzisz czas i pieniądze, ale również będziesz produkował mniej śmieci. To ekologiczne i ekonomiczne rozwiązanie. Wybraliśmy modele w dobrych cenach.

Cen oczywiście w tekście nie było. Po przeliczeniu pieczołowicie wyszukanych w internecie danych dowiemy się, że w jednej wersji litr gazowanej kranówy wychodzi po 2 zł, w drugiej – po 4.

Tymczasem w hipermarketach za 1,5 litra gazowanej wody mineralnej płacimy 2 zł, a w dyskontach za 9 litrów – nawet 7 zł.

Kodeks karny ma taki zapis o podpuszczaniu kogoś do niekorzystnego rozporządzania swoim majątkiem. Za to się siedzi. Tak jak za metodę na wnuczka, policjanta czy amerykańskiego żołnierza. Chyba że się jest wielkim wiarygodnym medium, któremu po prostu zapomniało się napisać, że wciskany ludziom kit to nie dziennikarstwo, ale oszukańcza reklamowa ściema. Najgorsze zaś w tym wszystkim jest to, że poszkodowani tym procederem, tak jak moja znajoma, do sądu nie pójdą, bo żaden internetowy gigant informacyjny nie wywali wielkiego tytułu *Portal oszukał setki tysięcy ludzi metodą na dziennikarza!*

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Minister finansów Andrzej Domański stwierdził, że nie stać go na podwyżkę zasiłku pogrzebowego, bo musiałby wyłożyć 2 mld zł. Zatem najbliższy możliwy wzrost świadczenia to dopiero rok 2026. Więc jeżeli ktoś ma jakieś plany w tym względzie, należy się wstrzymać. W obecnej sytuacji sprawilibyście rodzinie podwójną przykrość.

▮ Bezdomny 22-latek włamał się do studia tatuażu w Ełku. Przespał się wewnątrz. Potem chciał ukraść co nieco. Opuszczając miejsce noclegu, zostawił dowód osobisty, aby ułatwić policji pracę oraz poprawić swoją sytuację bytową. Ponieważ działał w warunkach recydywy, państwowy system penitencjarny zapewniać mu będzie noclegi i wyżywienie przez najbliższe 15 lat.

▮ Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych skontrolowała 91 sklepów w całej Polsce pod kątem jakości herbaty. Badania laboratoryjne wykazały obecność w herbatach: muszli ślimaków, kamyków, plastiku, drewna, cementu, piór ptasich i niedopuszczalnych barwników. Ukarano 54 właścicieli sklepów. Pijcie piwo! Browarnicy są uczciwsi. Piwo oczyszcza nerki, a herbata, jak widać, może je zabetonować.

▮ Wdecki Park Krajobrazowy wyznaczył nagrodę 10 tys. zł za wskazanie sprawcy zabicia wilka zwanego Lego na terenie Borów Tucholskich. Skuszony tą ofertą sprawca zgłosił się na policję sam. Jak łatwo się domyślić, okazał się nim myśliwy, który, co oczywiste, pomylił wilka z lisem. Jak na razie nagroda nie została mu wypłacona.

▮ Monika Drożyńska jeździ pociągami. W twórczym szale haftuje zagłówki foteli. Wyszywa na nich slogany i aforyzmy o społecznej, humanistycznej i politycznej wymowie. Władze spółki PKP nie są jednak zachwycone tym upiększaniem swojego majątku. Skierowały sprawę do prokuratury. Ta prowadzi postępowanie w kierunku wandalizmu uprawianego w warunkach przestępstwa ciągłego.

▮ W Tarnowie na rynku pobili się kibice Wisły z Krakowa i Miedzi z Legnicy, ponieważ zapowiadany mecz wspomnianych drużyn nie doszedł do skutku. Miłośnicy futbolu okładali się hulajnogami. Mimo zażartej walki, strat w ludziach nie było. Nikt nie odniósł też cięższych obrażeń. No cóż, hulajnoga to jednak broń nieco nieporęczna. Rekomendujemy napierdalać się krzesłami.

▮ Dwóch mieszkańców Sosnowca powodowanych głodem napadło na dostawcę pizzy. Najpierw skontaktowali się z lokalną pizzerią. Przez aplikację zamówili żarcia za prawie 500 zł. Zaczaili się na hipotetycznej trasie transportu pożywienia ubrani w kominiarki i uzbrojeni w gaz pieprzowy. Doszło do szamotaniny. Kurierowi udało się jednak zbiec. Zawiadomił policję. Głodomory zostały aresztowane na trzy miesiące. Za kratami o właściwą dietę zadba dla nich specjalnie przygotowany personel.

▮ Do zuchwałej kradzieży doszło także w sklepie RTV Euro AGD w Tarnowie. Klient włożył sobie do małżowin usznych słuchawki bezprzewodowe. Wyszedł, zapomniawszy zapłacić. Stąd podejrzenie, że był złodziejem. Gapy szuka policja, bowiem zdaniem sklepu słuchawki warte były 1000 zł. Producenta tego sprzętu nikt nie ściga za próbę wyłudzenia, a szkoda.

▮ *Na początku wakacji faktycznie ich nie było. Teraz na koniec się pojawili. Dlaczego akurat teraz, tego do końca nie wiemy* – powiedział Karol Wagner z Tatrzańskiej Izby Gospodarczej rozmawiając z „Gazetą Krakowską”. Wagnerowi chodziło o to, że po najeździe muzułmanów z Emiratów Arabskich obserwuje się w Zakopanem napływ ortodoksyjnych Żydów z Izraela. Biorąc pod uwagę cechy fizjonomiczne, Żydzi bardzo podobni są do górali. To przez te charakterystyczne orle nosy. Obie nacje noszą też czarne kapelusze. Żyd w góralskim kapeluszu jest w zasadzie nie do odróżnienia od górala.

▮ Sąd Apelacyjny w Gdańsku utrzymał wyrok pierwszej instancji 25 lat więzienia dla 34-letniej Natalii Ż. i 37-letniego Adriana C. za zabójstwo 36-latka, który był mężem tej Natalii. Pani Natalia bała się, że mąż się z nią rozwiedzie i pozbawi ją majątku. Skutecznie namówiła więc swojego kochanka Adriana, aby zasztyletował małżonka, argumentując, że potem ułożą sobie razem szczęśliwie życie za forsę nieboszczyka. To rzadka sytuacja. Proszę zwrócić uwagę: wszyscy przegrali!

▮ Jak podał wójt gminy Jastków Paweł Jędrejek: *Na terenie naszego parku bezpańskie psy zamordowały naszego pawia, który był nie tylko ozdobą, ale i symbolem tego miejsca.* Jak twierdzą miejscowi, psy działały z zazdrości. Chodziło o to, aby symbolem i ozdobą parku w Jastkowie stały się bezdomne psy. Ich wyższość nad pawiem jest taka, że nikt ich nie zamorduje. Można je co najwyżej utłuc.

RJ

PS Pochodzące z prasy lokalnej wieści publikujemy z trwogą, nieśmiałością i szarpani obawami, że mogą być nieprawdziwe. Do prasy wiejskiej, gminnej i powiatowej trzeba mieć bowiem ograniczone zaufanie, co czytający efekt kwerendy publikacji źródłowych, muszą brać pod uwagę.

eprasa.pl 1cbc9cf06b

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Niemcy umówili się, że* ***eksterminacja narodów nie jest zabójstwem. A teraz zwolennicy cywilizacji śmierci umawiają się, że aborcja też zabójstwem nie jest.*** *Straszliwa ta logika antyludzka.*

ks. Janusz Chyła, X, 29 sierpnia

■ *Rugowanie lekcji religii ze szkół, świadoma ateizacja państwa – jest to spowodowane neomarksistowską ideologią, która jest lansowana w Unii Europejskiej i przyjęta przez obecną większość rządową. Ideologia zakłada walkę o rząd dusz, a Kościół katolicki jawi się tutaj jako naturalny wróg.* ***Jeśli chce się wprowadzić ideologię gender do placówek oświatowych, to nie może być tam księdza katechety.***

prof. Mieczysław Ryba, „Nasz Dziennik", 25 sierpnia

■ *Obrona polskiej szkoły = obrona Niepodległości! Koalicja 13 grudnia „czyści" szkoły z nauki, wartości, cywilizacji życia.* ***Szczątkowa i zakłamana wiedza przedmiotowa, a zamiast religii instruktaż genderowy, lgbt, tranzycji. Celem odpolszczenie uczniów i hodowla internacjonalnych aktywiszczy.***

Barbara Nowak, X, 21 sierpnia

■ *Gdy władza myśli o wprowadzeniu do prawodawstwa swobody zabijania dzieci poczętych, również musi uciszyć protesty duchowieństwa. Nie inaczej wygląda sprawa ekologistycznych wymysłów zielonych marksistów chcących uwolnić ziemię od rzekomego nadmiaru ludzi.* ***Ideologia neokomunistyczna musi zatem wyeliminować konkurencyjne chrześcijaństwo.***

dalej Ryba

■ *Niepojęte, że w kraju z ponad tysiącletnią tradycją, z dziedzictwem genialnych postaci – królów, pisarzy, naukowców, kompozytorów, powstańców i świętych,* ***o kształcie edukacji decydują ludzie, dla których historia zaczęła się od okupacji sowieckiej w 1945 r.***

ks. Janusz Chyła, X, 24 sierpnia

■ *Tak się złożyło, że aktualne kierownictwo Ministerstwa Edukacji Narodowej to osoby o skrajnie lewicowych poglądach, dla których* ***Kościół i chrześcijaństwo to wyłącznie „ciemnogród" i „zacofanie".*** *Co ciekawe, żadna z nich nie ma wykształcenia i doświadczenia pedagogicznego, ale za to „wiedzą" one, że* ***miejsce religii jest w kościele, a szkoła powinna być świecka.***

Dariusz Kwiecień, Stowarzyszenie Katechetów Świeckich, Niedziela.pl, 27 sierpnia

■ *Demografia fatalna. Niż demograficzny. Rozrodczość prowadząca do wyginięcia narodu. A ci,* ***diabelską siłą, żądają aborcji i przepychają bestialskie mordowanie dzieciątek.*** *Krótkowzroczność. Głupota. Fanatyzm. Hedonizm.* ***Antynaukowa żądza egotów. Cywilizacja samozagłady.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 30 sierpnia

KLECHA

Rys. OBYWATEL JANEK

Śluby ubóstwiania pieniędzy

Kawa na ławę, a cappuccino na ławę oskarżonych

Polscy duchowni ostatnimi czasy często bywają bohaterami zagranicznych mediów. Nikogo chyba specjalnie nie zdziwi, że nie przynoszą chluby naszemu krajowi. Eksportowy kler to często jeszcze lepsze ziółka niż ci, co pozostali na miejscu.

Z celi do celi

Amerykańskie media opisują przypadek polskiego kapucyna znanego jako Paul – lub Paweł – Bielecki, a także: „Ojciec Paul", „Ojciec Kowal", „dr Phaakon Sonderburg-Glucksburg" oraz „Paul HRH Saxe-Coburg-Gotha". HRH oznacza His Royal Highness – Jego Królewska Wysokość – a Saxe-Coburg-Gotha to oryginalne nazwisko dynastii Windsorów, zmienione w 1917 roku na bazie sentymentów antyniemieckich. Co, nie da się ukryć, dowodzi fantazji zakonnika.

Ojciec Paul ma 49 lat żywota za sobą i perspektywę 40 lat w pierdlu przed sobą. Na razie siedzi w areszcie. Do życia w celi jako zakonnik powinien być przyzwyczajony, choć amerykańscy śledczy wykazali, że wolał raczej pokoje w luksusowych hotelach. Było go stać: miał na swoje drobne przyjemności, lekko licząc, 650 tys. dolarów. Lekko – bo to tylko to, co dotychczas udało się zsumować, gdyż przepływało przez konta. Jak wiadomo, duchowni lubią raczej gotówkę, więc ofiar (tym razem nie w ludziach) mogło być dużo więcej.

Polski mnich zarabiał na tym, na czym zarabia się najlepiej, czyli na działalności charytatywnej. Ludziom na wieść o cierpieniu, zwłaszcza dzieci i zwierzątek, otwierają się serca i portfele, a zamyka rozum. Franciszkański habit jest dodatkową legitymacją szlachetności dzieła, bo któż by podejrzewał skromnego braciszka, że zamiast na ofiary wojny będzie wydawał na operacje plastyczne?

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Nasz bohater kreował się na ubogiego obrońcę prześladowanych libańskich chrześcijan, których miał ratować z narażeniem życia, tymczasem wdowie grosze wydawał w klinikach medycyny estetycznej, gdzie m.in. odsysał sobie tłuszcz.

Mnich żyjący o chlebie i wodzie nie może być przecież spasiony.

Bardziej niż kapucyński habit odpowiadały mu eleganckie ubrania, na które też wydawał niebagatelne kwoty. Pościł zaś w drogich restauracjach, gdzie porcje rzeczywiście są niewielkie i nie zawsze smaczne, ale za to zawsze drogie. Cała jego libańska misja była mistyfikacją. Swoich darczyńców zapewniał, że buduje na Bliskim Wschodzie szpitale, kupuje karetki i sprzęt medyczny, co było taką samą prawdą jak to, że podczas jednej ze swoich wyimaginowanych misji został ranny w brzuch. Jedyna rana, jaką mógł mieć powyżej ud, to ta po zabiegu liposukcji.

Nie tylko mnich

Ojciec Paweł miał tak bogatą osobowość, że nie ograniczał się jedynie do wyłudzeń na mnicha. Mniej wrażliwym religijnie potencjalnym sponsorom przedstawiał się jako lekarz lub pracownik ONZ. Te zmiany tożsamości pozwoliły mu pozostać nieuchwytnym przez 8 lat. Podejrzeń nabrali jego koledzy z nowojorskiego klasztoru i podzielili się nimi z organami ścigania. Oficjalnie braciszkowie czują się „zgorszeni" poczynaniami Polaka. Przecież nie powiedzą, że są zazdrośni.

Do Ameryki o. Paul/Paweł, czy jak mu tam akurat było, wyjechał z Krakowa w 2011 r. Dziesięć lat wcześniej został wyświęcony na księdza; do USA pojechał na dalsze studia. Bardziej niż praca naukowa pociągały go jednak pieniądze, co jest szczególnie ironiczne w kontekście faktu, iż wybrał sobie akurat zakon kapucynów.

Zakon Braci Mniejszych Kapucynów powstał w 1528 r., aby przywrócić czystość i skromność życia zakonnego. Jak informuje Wikipedia, powodem, dla którego założyciel Matteo Serafini da Bascio powołał do życia nową gałąź zakonu, było odchodzenie przełożonych od surowej reguły stworzonej przez św. Franciszka; dotyczyło to zwłaszcza ślubu ubóstwa oraz niemożności życia w zakonie kontemplacyjnym. No to mu się, kurwa, udało. Z ciekawostek można dodać, że od brązowego kapucyńskiego habitu pochodzi nazwa „cappuccino".

Warto przy okazji wspomnieć, że kapucynem jest choćby bepe Antoni Pacyfik Dydycz, emerytowany biskup drohiczyński, znany z przyjaźni z Rydzykiem i mało kojarzącej się z ubóstwem sylwetki. Tenże hierarcha został uwieczniony wespół z nieżyjącym pisowskim ministrem rolnictwa Janem Szyszko w baśniowej karocy, która też nie opiewała ubóstwa, za to wywołała wiele radości w sieci. Do tegoż zakonu należał również słynny o. Pio, cieszący się poza kręgami dewotek opinią hochsztaplera, w którego nadprzyrodzone zdolności nie wierzył nawet Watykan, ale rozhisteryzowani wielbiciele zrobili z niego świętego.

Zakonnicy, ślubując ubóstwo, zrzekają się możliwości posiadania własnego majątku czy nawet konta w banku. Na swoje intymne potrzeby dostają groszowe kieszonkowe, wikt i opierunek zapewnia im klasztor. Oderwanie od rzeczy materialnych ma im pomóc w doskonaleniu cnót. Kapucynom o ślubach czystości, ubóstwa i posłuszeństwa przypominają trzy węzły na sznurze, którym przepasują habit. Ale nasz zamerykanizowany rodak, ojciec Paul, częściej niż w habicie chadzał w garniturach z Piątej Alei, miał więc prawo zapomnieć.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ W odpowiedzi na petycję prezydium Konferencji Episkopatu Polski i Polskiej Rady Ekumenicznej I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska zaskarżyła do Trybunału Konstytucyjnego lipcowe rozporządzenie MEN ws. warunków organizowania lekcji religii. Zgodnie z nowymi wytycznymi minister Barbary Nowackiej od 1 września lekcje religii miały zostać zredukowane do jednej tygodniowo, a dyrektorzy szkół i przedszkoli zyskali możliwość łączenia dzieci z różnych klas w grupy, gdyby liczba chętnych na zajęcia z katechezy była zbyt mała. Nie spodobało się to Konferencji Episkopatu Polski, która uznała, że przy wydaniu rozporządzenia przez ministra edukacji ograniczono się do umożliwienia przedstawicielom zainteresowanych Kościołów wyrażenia opinii, podczas gdy ustawa o systemie oświaty wymaga, by minister działał *w porozumieniu z władzami Kościoła katolickiego i Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego oraz innych Kościołów i związków wyznaniowych*. Minister edukacji poinformowała, że zabezpieczenie Manowskiej nie wywołuje skutków prawnych, a rozporządzenie w sprawie organizacji lekcji religii zostało wydane zgodnie z prawem i ma moc powszechnie obowiązującą od dnia 1 września 2024 r. Czekamy na dalszy rozwój sytuacji.

✚ Marszałek sejmu Szymon Hołownia postanowił zrobić dobrze wierzącym i niewierzącym i zapowiedział wprowadzenie cenników komunalnych na cmentarzach wyznaniowych w miejscach, gdzie taki cmentarz jest jedynym miejscem pochówku. Obecnie cenniki na cmentarzach wyznaniowych ustalane są przez księży zarządzających daną parafią, a kwoty, jakich żądają, często oscylują w granicach grubego absurdu. Hołownia zaapelował do koalicjantów, aby ustawa lub rozporządzenie w tej sprawie zostało jak najszybciej zrealizowane. W ocenie marszałka rozpoczęłoby to proces pokojowego rozdziału Kościoła od państwa. Co się pośmialiśmy, to nasze.

✚ Bogusław Wołoszański skomentował na platformie X prawicowe oburzenie faktem, iż podczas dyskoteki na Campusie Polska młodzież śpiewała utwór „Jebać PiS". *Że PO śpiewa »Jebać PiS«? Mogli zaśpiewać „Barkę" i okraść kontenery PCK albo jechać na Jasną Górę i namawiać na głosowanie na nich. Platformo – śpiewaj, uświadamiaj i zorganizowaną grupą przestępczą PiS się nie przejmuj* – napisał poseł KO. Na wpis zareagował ksiądz Janusz Chyła. *Żenujący poziom urbanowskiego „NIE". Taka „elyta" rządzi Polską. To plucie w twarz Bohaterom, którzy zginęli za naszą ojczyznę* – obruszył się duchowny. Cieszymy się, że ksiądz dobrodziej nas czyta. Jebaliśmy PiS, zanim to stało się modne.

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

KLECHA

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 1cbc9cf06b

Epitafium dla etyki

Dlaczego Trybunał Przyłębskiej nie przyczepił się do lekcji etyki, w której łączone klasy hulają od lat?

Od 1 września 2024 r. religia i etyka nie są wliczane do średniej ocen, nie mają więc wpływu na to, czy uczeń otrzyma świadectwo z wyróżnieniem. A ponieważ dla chodzenia na jedno lub drugie jest alternatywa w postaci niechodzenia na żadne – najwyższa pora lekcje etyki uśmiercić.

W Warszawie w ubiegłym roku szkolnym na zajęcia etyki uczęszczało 10 proc. uczniów; rok wcześniej 9 proc. W Zamościu zajęcia z etyki nie są prowadzone w żadnej ze szkół. W Wałbrzychu na etykę chodziło 8 proc. uczniów szkół podstawowych, 2,5 proc. uczniów liceów, 0,05 proc. uczniów techników i żaden uczeń szkół branżowych. W Katowicach etyki uczy się 3,9 proc. uczniów. Takich zaś, którzy nie chodzą ani na etykę, ani na religię, jest 37,38 proc.

Etyka rozporządzalna

Etyka pojawiła się w polskich szkołach jako listek figowy. Miała przysłonić obciach, jakim dla każdego myślącego człowieka było wpuszczenie do szkół religii. Zamysł był taki, że etyka, czyli kawałek filozofii zajmujący się relacjami dobra ze złem, był dla tych, którzy nie chcą na lekcjach klepać katolickich paciorków. W roku 1992 dorobiono do tego rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej w sprawie *warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach*. Stało w nim, że o udziale ucznia w zajęciach z etyki lub religii decydują rodzice bądź sam uczeń, jeśli jest pełnoletni, poprzez złożenie oświadczenia. Po złożeniu lekcje stawały się obowiązkowe, acz była też trzecia możliwość: niechodzenie ani na jedno, ani na drugie. Niechodzącym szkoła miała zapewniać opiekę.

W ministerialnym przepisie wykombinowano też, że przypadku niechodzących na świadectwie należy zostawić rubrykę „religia/etyka" bez jakichkolwiek adnotacji.

Rozporządzenie mówiło także, że lekcje etyki mają być organizowane dla grupy nie mniejszej niż 7 uczniów danej klasy; jeśli chętnych w klasie było mniej, organizowane miały być grupy międzyoddziałowe lub międzyklasowe.

Najśmieszniej jednak brzmiały zapisy, co robić, gdy w całej szkole zgłosi się mniej niż 7 uczniów. Otóż organ prowadzący szkołę miał organizować naukę etyki w grupie międzyszkolnej. O ile jednak taka grupa liczyłaby nie mniej niż 3 uczniów. Finansowanie takich zajęć mieli dogadać między sobą zarządcy poszczególnych szkół.

Etyka trybunalska

Po wydaniu rozporządzenia resort oświaty odetchnął i mógł podziwiać efekty swojej pracy. Te zaś były oszałamiające. We wszystkich szkołach była religia. Etyka występowała w ilości białka w zdrowym moczu, czyli śladowej.

Jednak przyroda i życie społeczne mają to do siebie, że ewoluują i dążą do samoregulacji. Im bardziej zatem katechetki i katecheci panoszyli się w szkołach, tym łatwiej znajdowano grupy inicjatywne do organizowania lekcji etyki.

Liczba szkół, w których uczono etyki, rosła. Szczególnie gdy w roku 2007 minister edukacji Roman Giertych wprowadził przepis mówiący, że religia ma się wliczać do średniej ocen, to wraz z nią wliczana stała się i etyka. W 2005 r. zajęcia odbywały się w co 50. placówce oświatowej. Po kolejnych pięciu latach nauczanie etyki deklarowało już 3 proc. szkół. Na osiągnięcie 4 proc. czekaliśmy już tylko 2 lata. W 2014 r. alternatywę dla religii mieli już uczniowie w co 20. szkole.

Skąd to nagłe przyspieszenie? Otóż w 2010 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka wydał wyrok w sprawie „Grzelak przeciw Polsce". Grzelakowie oskarżyli nasze państwo o to, że mimo kilkuletnich starań rodziców, szkoła nie zapewniła ich synowi zajęć z etyki, a we wspomnianej rubryce na świadectwie widniała kreska, która ujawniała ich przekonania religijne. ETPS uznał, że brak możliwości wyboru etyki w miejsce religii narusza Europejską Konwencję Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. Trybunał stwierdził też, że niewierzący uczeń, który ma na świadectwie pustą rubrykę „religia/etyka", bo nie chciał chodzić na religię, a etyki nie było – jest dyskryminowany.

W MEN-ie zrobił się dym. Ministerstwo zaczęło monitorować temat i uczulać kuratoria. Im jednak dalej od Warszawy, tym kategoryczność połajanek była mniejsza. Po trzech latach od werdyktu Trybunału, przyglądająca się sytuacji Helsińska Fundacja Praw Człowieka orzekła, że polskie państwo ma wyrok w głębokim poważaniu.

Fundacja punktowała MEN za niechęć do zmiany progu ilościowego, który zmusza dyrektora szkoły do zorganizowania etyki, brak jasnych procedur organizacji zajęć, za niechęć do wprowadzenia korekt we wzorach świadectw – na tych nadal widnieje pole „religia/etyka", co w połączeniu z brakiem dostępności etyki może narażać dzieci i rodziców na dyskryminację, a także za opieszałość we wprowadzaniu internetowego systemu nauczania etyki, który mógłby zwiększyć dostępność przedmiotu.

Tymczasem rządowa koncepcja, żeby internet zastąpił zajęcia, miała na celu jedynie spowodowanie, by europejskie instytucje odczepiły się od Polski.

Etyka katechetyczna

Dla dyrektorów szkół nauczanie etyki od zawsze było problemem. I to wielowątkowym. Po pierwsze nikt nie chciał podpaść pracodawcy, czyli samorządowi lokalnemu, w wielu przypadkach zaprzyjaźnionemu z klerem. Po drugie, lekcje etyki trzeba było upchnąć w grafiku lekcji, a jak to zrobić, gdy na zajęcia chodzą dzieciaki z pięciu różnych klas? Trzecią przyczyną był brak wykwalifikowanego nauczyciela, a znalezienie kogoś, kto wpadnie dwa razy w tygodniu, żeby przeprowadzić zajęcia, było i jest praktycznie niemożliwe. Po 2010 r. coś się jednak zmieniło. Coraz więcej nauczycieli jęło robić dodatkowe kursy w celu zdobycia papierów do prowadzenia zajęć z etyki. Chyba nikogo nie zdziwi fakt, że w ich organizacji prym wiodły uczelnie takie jak KUL czy Collegium Bobolanum. Cztery semestry i 360 godzin zajęć, które oferowały te uczelnie, gwarantowały Kościołowi po pierwsze, kaskę od studentów; a po drugie, czuwanie, by etyka w szkołach była tą właściwą etyką.

Kościołowi można zarzucić wiele, ale nie idiotyzm. Skoro zatem angażował się w pozyskiwanie kadr do nauki etyki, a w tygodniku „Niedziela" pojawiały się teksty niemal przyjaźnie piszące o tym przedmiocie, doszło do tego, że religii uczył kościelny katecheta, a etyki – kościelny etyk.

Potem propagandzie kościelnej się zmieniło i im więcej nauczycieli etyki z dyplomami uczelni katolickich uczyło w szkołach, tym bardziej Episkopat przypominał, że etyka jest be i nie przygotowuje do komunii i bierzmowania. Nieodstręczone tym owieczki i tak trafiały na właściwego człowieka – etyka desygnowanego przez proboszcza.

Etyka łączona

Wyrok europejskiego Trybunału spowodował, że ówczesna szefowa MEN Joanna Kluzik-Rostkowska rozporządziła przymuszenie szkół do organizowania etyki dla choćby jednego dziecka.

Jeśli chętnych było więcej niż jeden, ale mniej niż siedmiu, to dzieciom można było zaproponować zajęcia międzyszkolne. Oficjalnie taka międzyszkolność miała być dla gmin tańsza, bo nie trzeba w każdej szkole zatrudniać etyka. Oficjalnie, bo nieoficjalnie chodziło o to, by etyki uczniom nie organizować. Kraków załatwił to w ten sposób, że uzbierało się 70 uczniów, którzy mieli korzystać z zajęć z etyki w innych szkołach wytypowanych przez miejskich urzędników. Jednak żadne z dzieci nie stawiło się na zorganizowanych w ten sposób lekcjach. Zupełnym przypadkiem okazało się bowiem, że zajęcia mają odbywać się na drugim końcu miasta, i to w tym samym czasie, gdy uczniowie mieli inne lekcje w swoich szkołach.

Rzeszów rozegrał to tak, że międzyszkolne zajęcia miały się odbywać tylko w jednej szkole. Powinni na nie dojechać wszyscy chętni gimnazjaliści. I to dojechać na godz. 14.35. A na dodatek dwa razy w tygodniu.

Jeśli jednak złożyło się tak pechowo, że siódemka dzieci religijnych inaczej znajdowała się w jednej szkole, to dla władz oświatowych spacyfikowanie tego towarzystwa też nie stanowiło problemu. Robiło się zajęcia międzyklasowe. A na nich czwartoklasiści uczyli się z szóstoklasistami, a sześciolatki z trzecioklasistami. I wszystko grało, bo prawo dopuszczało taką możliwość. A że nauczycielom trudno było prowadzić jedną lekcję dla uczniów w różnym wieku i o różnym poziomie rozumienia takich samych tematów? Wszak nie chodziło o to, żeby kogoś nauczyć etyki, tylko słupki miały się zgadzać. A zgadzały się najbardziej, gdy taką zbiorczą etykę organizowano na siódmej godzinie lekcyjnej, gdy już wszyscy uczniowie mieli wszystkiego dość. I z powodu braku chętnych zajęć po prostu nie było.

Etyka narastająca

Generalnie jednak statystyki ruszyły. W Lublinie w 2013 r. „etycznych" uczniów było mniej niż setka, rok później – ponad 300. Etyka po rozporządzeniu ministry zadziałała w 26 lubelskich szkołach, choć w poprzednim roku szkolnym była tylko w 7.

W Poznaniu liczba „etycznych" szkół z 38 wzrosła przez rok do prawie 70. W Bydgoszczy szkół z etyką było ponad dwa razy więcej niż rok wcześniej. W Łodzi w jednej z podstawówek, gdzie od lat nie można było nauczać etyki z powodu rzekomo nikłego zainteresowania, na pierwszą lekcję przyszły tłumy. Chętnych z klas 1–3 było tak dużo, że sala okazała się za mała.

Nawet w Białymstoku chęć uczęszczania na lekcje etyki zadeklarowało 472 uczniów; o 124 więcej niż rok wcześniej. Jedno proste rozporządzenie wyzwoliło w szkołach zeświecczenie, na które tylko czekali katoliccy etycy.

Dlatego gdy władzę przejęło PiS, z etyką w szkołach nikt nie walczył. Ba, na początku 2023 r. Przemysław Czarnek zapowiedział, że uczeń albo pójdzie na religię, albo na etykę – trzeciej opcji, niechodzenia na żadne z tych zajęć, nie będzie. Zmiana miała wejść w życie od 1 września 2023 r. Nie stało się tak tylko dlatego, że prezydent Duda zawetował drugą wersję ustawy Lex Czarnek. Dlaczego dla Czarnka, profesora KUL, etyka nie była konkurencją dla religii? Bo doskonale wiedział, kto jej w większości szkół naucza i dlaczego nader często są to katecheci.

Etyka nieetyczna

Uczona w szkołach etyka przekonywała, że lepiej być dobrym niż złym. Na zajęciach z niej kilkulatek dowiaduje się, że *etyka to nauka o moralności. Teorię moralności wprowadził Arystoteles – filozof starożytny zwany ojcem etyki. Moralność to przedmiot badań etyki.* Potem taki młody człowiek deliberuje o biciu zwierząt i przyswaja sobie, że *zło jest przeciwieństwem dobra i jest to postępowanie niezgodne z normami postępowania społecznego.*

Czy zdziwi kogoś zatem, że po kilku latach uczenia się takiego czegoś ma się etyki równie dość jak religii?

Cały program etyki na studiach filozoficznych trwa dwa semestry. Czego zatem mają się uczyć młodzi ludzie przez 8 lat podstawówki i 4 liceum? Toż po takim okresie powinni napisać doktorat, kilka artykułów naukowych i na dodatek pracę habilitacyjną.

Rys. WIDGET

Autorytety pedagogiczne od lat kwestionują zasadność przedmiotu o nazwie etyka. Proponują go zastąpić pełnym kursem filozofii. Według nich miałaby ona nauczyć młodych ludzi tego, czego młodemu pokoleniu najbardziej dziś brakuje: myślenia.

Tyle że jest to równie pobożne życzenie jak to, że lekcje etyki uczynią kogoś etycznym.

Dlatego może warto by było, żeby ministra Nowacka skończyła z tą hipokryzją i likwidując etykę, zaoszczędziła trochę pieniędzy na etatach katechetów uczących etyki. Bo to byłoby po prostu zarówno mądre, jak i etyczne.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 1cbc9cf06b

One nas wyzwolą

Czy prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski pokazałby takie freski w swoim ratuszu?

Fot. PIOTR GADZINOWSKI

W Norwegii nie ma dowcipów o policjantach. Wystarczą prawdziwe historie. Jak choćby o tym policjancie, który śpiesząc się do pracy, przekroczył policyjnym samochodem dopuszczalną prędkość. Kiedy zauważył swoje wykroczenie, to stanął. Potem bez dyskusji z policjantem, czyli z sobą, ukarał się stosownym mandatem i bez wahania przyjął go. Niezwłocznie też mandat zapłacił stosownym przelewem. I ruszył do pracy, bacznie obserwując licznik.

Jazda

Jazda po norweskich drogach wymaga skupienia i cierpliwości. Autostrad mają niewiele, a na drogach szybkiego ruchu nie wolno przekraczać 90 km/h. Przekroczenie o 3 km/h grozi umiarkowanym mandatem, czasem upomnieniem. Prędkość powyżej to mandaty z nocnych koszmarów polskich kierowców. Ich opowieści o takich wpadkach, licytacje *kogo policja więcej skroiła*, to współczesny kanon Ksiąg Pielgrzymstwa Narodu Polskiego.

Ponieważ nawet na norweskich drogach szybkiego ruchu często spotykamy ograniczenia prędkości do 70 km/h, to kraj ten przoduje pod względem najmniejszej liczby wypadków drogowych, a zwłaszcza – najmniejszej śmiertelność w wpadkach drogowych.

W Norwegii odnotujemy też najniższe populacje samochodów wypasionych, przeznaczonych do szybkiej jazdy. Nie dlatego, że są tam mało użyteczne. Kanon estetyczny Norwegów, ich herbertowska kwestia smaku nie pozwala na szpanowanie takimi furami, na obnoszenie się bogactwem. Skromność preferowana jest.

Jeśli do bezpiecznych dróg dodamy nieliczną sieć kolejową, śladowe koleje dużych prędkości, brak hulajnóg w miastach i natłoku rowerów poza miastami, wielką popularność nart biegowych w zimie oraz łodzi i motorówek w lecie, to śmierć w wypadku komunikacyjnym jest tam niezwykle trudna do zrealizowania.

Instrukcje

Instrukcje obsługi są wszechobecne w Norwegii. Obrazkowe ze słownym wyjaśnieniem treści obrazków. Wystarczająco duże, czytelne nawet dla krótkowidzów, porażające prostotą i zrozumiałą dla wszystkich formą. Instrukcje obsługi można spotkać nie tylko przy biletomatach i wszelkich innych „matach". Są przy każdym dostępnym serwisie do kawy, pokazują, jak nalewać wrzątek do kubka, aby powstała herbata, otwierać drzwi do toalety publicznej. Po otwarciu ich za pomocą instrukcji, czasem karty kredytowej lub gotówki, w środku znajdziemy instrukcję, jak skorzystać z sedesu. A przede wszystkim – jak nie korzystać. Czego nie wrzucać tam do środka, jak nie stawać, nie siadać, nie dotykać.

Zawsze wyeksponowane jest polecenie, aby sikać jedynie do sedesu lub pisuaru, a nie na podłogę lub ściany. Które stresuje osoby wrażliwe tak ekspresyjnie, że w czasie czytania instrukcji dostawałem drgawek i trafiałem moczem poza zalecany instrukcją cel.

Na szczęście po odwróceniu się, zgodnie z instrukcją, od sedesu lub pisuaru trafiamy na kran z instrukcją, jak umyć ręce. Czynimy to i, jak kiedyś Piłat, rozgrzeszamy się z naszego wcześniejszego występku.

Sąsiad patrzy

Możemy to uczynić, bo norweskie sedesy nie są jeszcze monitorowane dozorem kamer. Nie ma tam też powszechnego dozoru sąsiedzkiego, czy obywatelskiego. W Norwegii oprócz wszechobecnych instrukcji, jak żyć z kawiarką czy pisuarem, powszechny jest też obywatelski monitoring. Sąsiad lub przechodzień zawsze patrzy.

A kiedy wypatrzy jakiś występek, coś niepokojącego, to dobrze wie, kogo ma o tym zawiadomić. Takie zawiadomienia nie są tu pogardzanymi donosami, lecz powszechnie akceptowanymi spostrzeżeniami obywatelskimi. Efekt tak rozumianej obywatelskości bywa kłopotliwy dla przybyłych do Norwegii, którzy jeszcze nie opanowali sztuki życia ściśle według obowiązujących praw, reguł, norm, procedur, regulaminów i instrukcji. Ułatwiających tam znacznie łatwe i wygodne życie. Poprawiających powszechne bezpieczeństwo.

Płatności

Filozofia ułatwiania i upraszczania obecna jest też przy płatnościach. Preferuje się tam płatności bezgotówkowe, elektroniczne. Wszechobecny, dostępny, szybki internet powoduje, że transakcje odbywają się sprawnie i szybko. Gotówka – w Polsce nadal ulubiona w wielu hotelach, restauracjach, instytucjach publicznych – nie jest już przyjmowana. Mogą awaryjnie ją przyjąć, jeśli nie muszą wydawać reszty. Bo nie mają już kasy gotówkowej.

A wydanie reszty z prywatnych pieniędzy i potem odebranie jej sobie od firmy przekracza przyjęte normy i instrukcje. No chyba że trafimy na świeżo zatrudnionego tam Polaka. On pokombinuje i jakąś resztę nam wyda.

Gotówką da się płacić w Norwegii tam, gdzie bywają zagraniczne grupy turystyczne. W sklepach z pamiątkami, muzeach, restauracjach dla turystów. W ich okolicach bywają też kantory wymiany walut. Można płacić gotówką również w supermarketach, na stacjach benzynowych. Tam też spotkacie automaty do wydawania reszty. Kiedy płacicie banknotami, sprzedawca wydaje wam resztę w banknotach. Ale resztę reszty w drobnych monetach wydaje wam jedynie specjalny automat. On odciąża sprzedawcę od liczenia drobniaków i daje gwarancję, że się przy wydawaniu nie pomyli.

Uczciwość

Uczciwość to cnota preferowana i pielęgnowana przez Norwegów. Uczciwość rozumiana na wiele sposobów. To karzący się mandatem policjant. Choć niektórzy twierdzą, że był nie tylko uczciwy, ale roztropny.

W nafaszerowanej kamerami Norwegii, w służbowym samochodzie wyposażonym w monitoring rejestrujący przebieg jazdy, nie dałoby się ukryć przekroczenia przepisów. Ów policjant wiedział, że w Norwegii kary są nieuchronne, a mandaty skrupulatnie ściągane. Gdyby się nie ukarał, to mandat czekałby na niego w pracy.

Ale uczciwość norweska to też skrupulatne, zgodne z instrukcjami wykonywanie wszelkich obowiązków zawodowych. To dotrzymywanie norm produkcyjnych. Co sprawia, że zwykle nie ma tam fejków. Produktów z kiepskich surowców, dań o gramaturze niższej niż podana w menu, oszukanych drinków.

Alkohol

Alkohol to dla Polaka w Norwegii niezwykle bolesny problem. Nie chcę tu rozrywać ledwo zabliźnionych ran. Z kronikarskiego obowiązku przypomnę, że w Lillehammer – takim ichnim Zakopanem – jest tylko jeden specjalny sklep sprzedający flaszki z gorzałą. Wybór mają gorszy niż w naszej Żabce. I małpek też nie kupisz. Ten jedyny sklep otwierają od poniedziałku do piątku przez kilka godzin dziennie. Jest podobno dobrze monitorowany.

Oczywiście na tamtejszym deptaku – takich ich Krupówkach – można trafić na knajpy serwujące piwo niskoalkoholowe i lekkie wina w barwach polskiej flagi. Ale piwo kosztuje tam około 120–140 koron, czyli ponad 50 zł. Puszka takiego piwa w sklepie to koszt 20 zł. Wina jednak w sklepach nie kupisz. W knajpach i barach jeden kieliszek wina kosztuje 50–80 zł. Oczywiście miejscowi zarabiają o wiele więcej niż w Polsce, stać ich na wygodne życie i motorówki. Ale alkohol pije się tam wyjątkowo niełatwo.

Polacy

Nasi rodacy, czyli Polacy, są już tam drugą narodowością. Po Norwegach stanowiących tam 4,5-milionową populację. Jest Polaków już ponad 120 tys. i ciągle ich przybywa. Mniej liczni są Litwini, Szwedzi, Somalijczycy, Irakijczycy, Syryjczycy, Palestyńczycy, Ukraińcy. I Chińczycy, którzy zawsze są wszędzie.

Polacy zwykle postrzegani są w Norwegii jako pracowici, solidni, uczciwi budowlańcy oraz pracownicy sektora wszelakich usług. Cenieni są za innowacyjność w przeprowadzaniu remontów. Umiejętność prac, które przekraczają poziom podstawowych instrukcji.

Potrafią też wydawać resztę bez pomocy automatów. Często jednak rdzenni Norwegowie traktują Polaków jak teraz Polacy ukraińskie sprzątaczki. Wzbudza to sprzeciw zamieszkujących tam polskich inteligentów. Taki cichy rasizm opisała Ewa Sapieżyńska w książce „Nie jestem twoim Polakiem. Reportaż z Norwegii".

Cipki i inne artefakty

Podróżując po Norwegii, widzimy przede wszystkim jej piękne, czyste góry, lasy, jeziora i fiordy. Rzadko skupiska wiejskie, a zwłaszcza miejskie. – To niezwykły, kojący, wręcz terapeutyczny widok – usłyszałem od turystów chińskich.

W norweskich miastach, a jest tam kilka dużych, ujrzymy liczne skupiska ludzkie, także grona cudzoziemców innych niż rdzenni Norwedzy. Najbardziej wyróżniają się Arabki ubrane zgodnie z zaleceniami religii islamskiej.

Islam nakazuje zakrywanie ubiorem ciał kobiet w przestrzeni publicznej. To stoi w sprzeczności z tradycyjną norweską prostotą, kultem ciała ludzkiego, jawnie nagiego. Nawet w przestrzeni publicznej. Dwie setki wyrzeźbionych golasów płci obojga można zobaczyć w parku rzeźbiarza Gustawa Vigelanda. Są goli jak nowo narodzeni. Masowo fotografowani przez turystów.

Najważniejszym gmachem w Oslo jest Ratusz. Większym od pobliskiego Pałacu Królewskiego i parlamentu. Co roku odbywa się tam ceremonia wręczenia Pokojowej Nagrody Nobla. Ratusz można zwiedzać bezpłatnie, co czynią liczne wycieczki szkolne. Wtedy dzieci wszystkich narodowości i religii podziwiają też wspaniałe freski i płaskorzeźby wybitnych norweskich artystów. Prezentujące narodowy charakter mieszkańców.

Przybysz z pruderyjnej, katolickiej Polski i pruderyjnych państw islamskich bez trudu zauważy w Norwegii to, co u nas i u muzułmanów musi być zakryte. Damskie cipki jawnie pokazywane w najważniejszym stołecznym gmachu. Ciekawe, czy uchodzący za wielce progresywnego prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski pokazał by takie freski w warszawskim Ratuszu. Ciekawe, co myślą o nich arabskie uczennice zwiedzające Ratusz podczas szkolnych zajęć

Czy taka norweska prawda może nas i je wyzwolić?

PIOTR GADZINOWSKI

WIARA CZYNI CZUBA

1. Sara Waldenfors, pastor z Nylöse, oraz Jesper Eneroth, przedstawiciel socjaldemokratów w Zgromadzeniu Kościelnym Kościoła Szwecji postulują wpisanie do kościelnego prawa zakazu odprowadzania panny młodej do ołtarza przez ojca. To anglosaski obyczaj, który zdobywa popularność w różnych krajach, głównie dzięki amerykańskim filmom; stąd niektórzy Szwedzi nazywają go *hollywoodzką tradycją*. Postulat jest tylko z pozoru absurdalny: w istocie rzeczy cały koncept „oddawania" córki przez ojca narzeczonemu jest wcieleniem patriarchalnej tradycji, którą Szwecja z sukcesem zwalczyła. *Nawet jeśli ta scena jest przyjemna dla par młodych, nie możemy lekceważyć tego, co symbolizuje: ojca przekazującego nieletnią dziewicę jej nowemu opiekunowi* – mówi Waldenfors. Wyjątkowo jesteśmy tej sprawie z osobą duchowną.

2. Diecezja Ávila w Hiszpanii poinformowała, że cudowne ciało św. Teresy z Ávila pozostaje niezniszczone – *incorruptiō* – czyli nie zepsuło się nic a nic od jej śmierci w 1582 r., co jest naturalnie dowodem cudu. *Dzisiaj grób św. Teresy został otwarty i sprawdziliśmy, że jest w takim samym stanie jak podczas ostatniego otwarcia w 1914 r.* – doniósł postulator generalny karmelitów bosych, ojciec Marco Chiesa z klasztoru, gdzie są trzymane resztki po świętej. I dodał, że zdjęcia z 1914 r. są czarno-białe, więc *trudno jest dokonać porównania*, tym niemniej *odsłonięte części, czyli twarz i stopa, są takie same jak w 1914 r.* Po czym sprecyzował, że wprawdzie *zwłoki nie mają koloru skóry, bo skóra jest zmumifikowana, ale można ją zobaczyć, zwłaszcza na środku twarzy* i *lekarze eksperci mogą zobaczyć twarz Teresy prawie wyraźnie.* „Prawie" robi wielką różnicę.

3. Jason i Jennifer Reinoehl oskarżyli okręg szkolny, radę szkoły i szefa departamentu edukacji stanu Indiana o znęcanie się na ich dzieckiem. A dokładnie nad czwórką dzieci, które skończyły lokalną szkołę, i piątym, które do niej pójdzie. Reinoehlowie i ich dzieci – stało w pozwie – *doznali emocjonalnego bólu i cierpienia*, ponieważ *szkoła naruszyła ich prawa konstytucyjne*. Albowiem – o zgrozo – w szkole ich dzieci zostały narażone na zapoznanie się ze *sponsorowanymi przez państwo, ateistycznymi, religijnymi teoriami ewolucji oraz Wielkiego Wybuchu,* co *gwałci ich przekonania religijne jako chrześcijan*. Gwałt się gwałtem odciska: sędzia sądu okręgowego południowego dystryktu stanu Indiana, Sarah Evans Barker, odrzuciła ich pozew, stwierdzając, iż *nie ma dowodów na to, że ich córka jest narażona na bezpośrednie ryzyko krzywdy*. Okrutna.

AWŁ

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Na łamach „Moskiewskiego Komsomolca" Dmitrij Popow objaśnia, czym był zmasowany atak Rosjan na ukraiński system energetyczny, po wtargnięciu Ukraińców do obwodu kurskiego: *Bądźmy szczerzy: poniedziałkowy zmasowany atak na Ukrainę nie jest odwetem za akcję w obwodzie kurskim. Nie myślcie fałszywie, czysto emocjonalnie, o zemście. Ja też po raz pierwszy od tygodni wreszcie oddychałem pełną piersią, coś we mnie się odblokowało. Ale tak naprawdę, racjonalnie rzecz biorąc, nie był to atak „za" Kursk, ale adekwatna odpowiedź „na" operację kurską Sił Zbrojnych Ukrainy. A swoją drogą jest coraz lepiej, choć jeszcze nie do końca dobrze*. Jaśniej się nie dało?

☆ „Komsomolska Prawda" donosi o zatrważających podwyżkach opłat komunalnych w Petersburgu. Podwyżki sięgną 4,7 proc. I tak od stycznia 2025 r. petersburżanie za metr sześcienny zimnej wody i odprowadzenie ścieków zapłacą w przeliczeniu 1,80 zł, za metr gorącej – 6,27 zł, metr sześcienny gazu to wydatek 37 groszy, a kWh energii od 21 do 28 groszy. Co za szkoda, że w Rosji nikt nie przelicza na grosze.

☆ Od ponad tygodnia z łamów rosyjskiej prasy nie schodzi temat aresztowania i szybkiego zwolnienia Pawła Durowa, założyciela Telegrama. „Krymska Prawda" w artykule zatytułowanym ironicznie „Paul du Rove na ścieżce do sukcesu..." pisze: *Młody miliarder, gwiazda branży IT i uosobienie osobistego sukcesu, Paweł Durow staje się kolejnym zakładnikiem „wolności słowa po amerykańsku" i osławionego „porządku opartego na zasadach". Choć jest mało prawdopodobne, aby dorównał „buntownikom" Assange'owi i Snowdenowi, to jego aresztowanie we Francji jest lekcją dla wszystkich „obywateli świata", którzy wciąż naiwnie wierzą w „legalność", „prawa człowieka" i inne zachodnie mity propagandowe*. O tym, jak wygląda „wolność słowa po rosyjsku" przezornie nie wspomniano.

☆ Z kolei dziennik „Kommiersant" opublikował ranking popularności polityków na Telegramie. We wszystkich kategoriach zwycięzcą został Ramzan Kadyrow, który posiada już przeszło 2 miliony obserwujących. Daleko w tyle znajdują się przywódcy regionów graniczących z Ukrainą – Wiaczesław Gładkow z Biełgorodu (474 tys.), Michaił Razwożajew z Sewastopola (213 tys.) i Aleksiej Smirnow z Kurska (212 tys.) – a także mer Moskwy Siergiej Sobianin (249 tys.). Nadmieńmy, że prezydent Władimir Putin nie używa mediów społecznościowych.

☆ Rozpaczliwą wiadomością dzieli się z czytelnikami „Rosyjska Gazeta": *W gruzińskim mieście Batumi zburzono wieżę czaczy, 25-metrową fontannę z tradycyjnym gruzińskim alkoholem, zbudowaną jeszcze za czasów Saakaszwilego. Zgodnie z planem, ku uciesze publiczności, raz w tygodniu miał z niej tryskać napój alkoholowy o mocy 70 procent. (...) Na miejscu zburzonej fontanny władze miasta planują park*.

Z Rosji
MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 1cbc9cf06b

Wojna i pokój po niemiecku

Z niejakim rozbawieniem obserwuję schizofrenię, jaką polskie media wykazują w sprawie Sahry Wagenknecht i jej partii BSW, która stała się trzecią siłą w wyborach lokalnych w Turyngii i Saksonii. Bo – z jednej strony – to *komunistka*, a nawet *madonna neokomunizmu* i do tego *prorosyjska;* leitmotiv kampanii BSW brzmiał *wojna i pokój* i nie chodziło bynajmniej o to, że drogą do pokoju jest bezwzględne zwycięstwo Ukrainy w tej wojnie.

Z drugiej jednakże – Wagenknecht nie jest to faszystka z AfD. I co z tym fantem począć?

Alternatywa dla Niemiec – partia jako żywo trącąca naziolstwem, budująca swój przekaz głównie na ksenofobii wymierzonej w imigrantów – wygrała w Turyngii, gdzie zagłosowała na nią jedna trzecia wyborców; w Saksonii, z 30 procentami, jest druga. *Bündnis Sahra Wagenknecht – Für Vernunft und Gerechtigkeit* (Sojusz Sahry Wagenknecht – dla Rozsądku i Sprawiedliwości) zdobył odpowiednio 16 i 12 proc., spuszczając wpierdol zarówno socjaldemokracji kanclerza Scholza, jak i Die Linke: wyrazistej, częściowo postkomunistycznej partii lewicy, z której BSW wyłonił się zaledwie w styczniu.

W tych dwóch landach bez „czerwonej Sahry" i jej towarzyszy żadnej koalicji nie da się stworzyć; a już na pewno nie da się otoczyć neofaszystów kordonem sanitarnym, do czego wzywa Scholz.

BSW zapowiada, że nie sprzeda się tanio. I – w odróżnieniu od polskiej lewicy – nie mówi o kilku gównianych stanowiskach, tylko o kwestii zasadniczej: warunkiem wstępnym jakiejkolwiek koalicji jest dla nowej partii lewicy wspólna niezgoda na umieszczenie na terenie Niemiec nowych amerykańskich rakiet dalekiego zasięgu. *Połowa Niemców obawia się, że zostaniemy wplątani w wielką wojnę; na wschodzie jest to większość* – mówi Wagenknecht. I wymaga: *Oczekujemy, że premier landu jasno wyrazi naszą niezgodę*. Wprawdzie decyzje takie nie są w gestii landów – ale tego typu oświadczenie byłoby poważnym ciosem w autorytet władz centralnych; SPD, CDU, zieloni i liberałowie zgodnie popierają amerykańskie rakiety na niemieckiej ziemi.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Drogi frakcji Wagenknecht z Die Linke rozeszły się po wybuchu wojny na Ukrainie, kiedy partia ta – wcześniej jednoznacznie antywojenna i antynatowska – usiadła okrakiem na barykadzie. Jedną nogę trzymała po stronie swojego tradycyjnego pacyfizmu, sprzeciwiając się zbrojeniu Ukrainy; drugą zaś w próbowała znaleźć się w antyrosyjskim mainstreamie, wspierając sankcje wobec Rosji. Sahra nie doceniła tej sofistyki. *Tak, oczywiście, że wojna na Ukrainie jest zbrodnią. Ale jak głupi jest pomysł, że możemy ukarać Putina, wpychając miliony niemieckich rodzin w ubóstwo i niszcząc naszą gospodarkę, podczas gdy Gazprom osiąga rekordowe zyski?* – pytała w Bundestagu.

Koszty życia – związane ze wzrostem cen energii, wynikającym z przerwania dostaw z Rosji – to jeden z głównych tematów, które poruszają niemieckich wyborców. Inne – to problem imigracji, a także dość szeroka niezgoda na odejście od państwowego pacyfizmu, który cechował politykę RFN przez ostatnie 80 lat.

W sprawie imigracji Sahra manewruje ostrożnie – z jednej strony czyniąc ukłony pod adresem niemieckiej klasy pracującej, która obawia się tyleż o miejsca pracy, co o bezpieczeństwo na ulicach; z drugiej, podkreślając humanitarną konieczność zapewniania schronienia i pomocy uchodźcom, którym się to należy w świetle prawa międzynarodowego (to więcej, niż da się powiedzieć o polskim rządzie: obecnym i poprzednim).

Domaga się zniesienia sankcji, przywrócenia stosunków handlowych z Rosją, natychmiastowego zatrzymania dostaw broni dla Ukrainy i zaangażowania rządu Niemiec w rozmowy pokojowe.

Polskie media określają BSW jako *konserwatywną społecznie*. To nie do końca prawda; Wagenknecht zarzucała Die Linke, że partia stała się głosem *lewicy lifestylowej, skupionej na promowaniu różnorodności i otwartych granic, walce z rasizmem i zmianami klimatycznymi*. W opinii Sahry są to cele *godne*, ale takie, które *interesują głównie wykształcone środowiska wielkomiejskie*, a *zniechęcają grupy nieuprzywilejowane, które mają poczucie, że nikt nie rozmawia z nimi o ich prawdziwych problemach*. Narażając się na zarzut dziaderstwa (baberstwa?) zauważę, że coś w tym jest – czego dowodem może być żałosna pozycja sondażowa polskiej lewicy, skupionej głównie na przekazie, powiedzmy, obyczajowym.

Myślę sobie, że zadaniem lewicy nie jest oświecanie klasy robotniczej; jest reprezentowanie jej interesów. Czasem można zarobić na tym łatę populizmu; populizm wszakże jest lepszy niż elitaryzm.

Przynajmniej z lewicowego punktu widzenia.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

„NIE" rozmawia z Andrejem Hunko, posłem do Bundestagu, jednym z 10 założycieli frakcji Sojuszu Sahry Wagenknecht.

– Jesteście ruską agenturą?

– To kompletny nonsens. Nie mamy żadnych powiązań, żadnych – finansowych ani jakichkolwiek innych – związków z Kremlem.

– To czemu mainstreamowe media twierdzą, że jesteście za Putinem?

– Jesteśmy za podjęciem inicjatyw dyplomatycznych w celu osiągnięcia zawieszenia broni i negocjacji. Dlatego czasami jesteśmy atakowani – przez tzw. jastrzębie – jako partia prorosyjska.

– Prowadziliście kampanię pod hasłem *wojna i pokój*. A przecież wiadomo – tak w Polsce, jak i w Niemczech – że każdy, kto dziś używa słowa *pokój* naraża się na etykietę, że użyję modnego u nas pojęcia, *ruskiej onucy*. Czy jest to ryzyko godne podjęcia?

– Jesteśmy głęboko przekonani, że zakończenie wojny leży w interesie wszystkich, którzy znaleźli w regionie działań wojennych. Zwłaszcza po stronie ukraińskiej. Im dłużej trwa ta wojna, tym bardziej cierpią ludzie; głównie na Ukrainie.

– I tak sądzą też wasi wyborcy?

– Nie tylko nasi. Według badań pracowni Infratest Dimap na zlecenie dziennika „Tagesschau" publicznej telewizji ARD, 55 proc. wszystkich wyborców w Saksonii i 60 proc. wszystkich wyborców w Turyngii popiera nasz sprzeciw wobec dalszych dostaw broni do Ukrainy. Powtórzę: wszystkich, nie tylko zwolenników BSW.

Rozm. AWŁ

Donald influencer

Czy demokraci mogą spać spokojnie?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Walka o głosy młodych Amerykanów odbędzie się w mediach społecznościowych. A tu coraz więcej jest Donalda Trumpa – co przez demokratów, w obliczu ich sporego poparcia wśród młodych i konsekwentnie negatywnego wizerunku przeciwnika w mediach głównego nurtu, zdaje się być lekceważone.

Pytanie, czy nie jest to działanie krótkowzroczne.

Tesla dla miliardera

Niedawno kandydat republikanów zyskał swoją piosenkę kampanijną. Autorstwo? Kodak Black i Fivo Foreign. Dla tych, którym to niewiele mówi: to powszechnie rozpoznawalni i słuchani amerykańscy raperzy. Swoją drogą, w 2021 Trump złagodził wyrok dla tego pierwszego – pewnie jest jego wielkim fanem. Co nie mniej ważne w kontekście ruchu Black Lives Matter i ciążących na Trumpie zarzutach rasizmu – są to twórcy czarnoskórzy. Inaczej mówiąc, Trump jednocześnie wchodzi do bańki młodych słuchaczy hip-hopu i odcina się od etykiety rasisty.

Wiceprezydent Harris co prawda też nie próżnuje – na jej wiecu pojawiły się inne gwiazdy amerykańskiego rapu, Megan Thee Stallion i Quavo – jednak są to artyści mainstreamowi i niebudzący kontrowersji; znaczna część ich słuchaczy i tak zagłosowałaby na Kamalę. Trump zaś wchodzi do zupełnie innego świata. Kodak Black jest postacią kontrowersyjną, z kryminalną przeszłością. Bratanie się nim mogłoby wizerunkowi Harris zaszkodzić. Trump, który sam uchodzi za skandalistę, może wejść w kolaborację z takim twórcą i skutecznie dotrzeć do jego odbiorców – jednocześnie nie tylko nie tracąc na prestiżu, ale także zyskując punkty za swoją otwartość na współpracę z nieoczywistymi środowiskami. Tworzy dzięki temu obraz „fajnego gościa", który może bratać się z każdym, nie bojąc się medialnego linczu.

Kontrowersyjne koneksje Trumpa bynajmniej się na tym nie kończą. Na początku sierpnia zagościł w transmisji na żywo na platformie influencera Adina Rossa. To mocno rozpoznawalny twórca internetowy, znany chociażby z goszczenia skrajnego prawicowca, rasisty i homofoba, słynnego z denializmu Holocaustu Nicka Fuentesa czy powiązań z innym twórcą oskarżonym o handel ludźmi.

Trump wie, co robi. Rozmowę z Rossem w szczytowym momencie oglądało pół miliona widzów; jej zapis zebrał już 2,5 mln wyświetleń. Wywiad był przeprowadzony w przyjaznej atmosferze, w rezydencji na Florydzie, bez trudnych pytań, z myślą o widzach, u których Trump budzi respekt. Te trzy miliony widzów Rossa, o poglądach często antysemickich, homofobicznych i rasistowskich – to ludzie, z którymi politycy niechętnie wchodzą w interakcje; nikt na scenie politycznej takich poglądów otwarcie nie głosi. Trump wchodzi do tego świata, wiedząc, że tacy odbiorcy często nie biorą udziału w wyborach, bo czują się pominięci i niereprezentowani. Żeby pozyskać ich głosy, Trump wcale nie musi otwarcie podpisywać się pod ich poglądami; sama rozmowa ze środowiskiem ekstremistów będzie dla wielu z nich wystarczającym powodem, by poczuć z nim więź i go poprzeć.

Na końcu rozmowy Adin Ross sprezentował Trumpowi Teslę Cybertruck, przyozdobioną jego słynnym zdjęciem ze wzniesioną pięścią, zrobionym chwilę po nieudanym zamachu. Potem chwilę przyjacielsko gawędzili w samochodzie, a następnie nagrali wspólnie filmik, tańcując niezdarnie do „YMCA". To obrazki, które bardzo skutecznie kreują przyjazny wizerunek Trumpa – szczególnie dla rzeszy osób, które nie znają okoliczności nagrań czy charakterystyki prowadzącego; fragmenty rozmowy cieszą się sporą popularnością na innych platformach, np. TikToku.

Dwie godziny z Elonem

Trump pojawił się również w rozmowie z Elonem Muskiem na platformie X. Dawny Twitter, przejęty przez Muska, znów jest dostępny dla byłego prezydenta, który wcześniej miał na nim zablokowane konto. Elon nigdy nie krył swojej sympatii do Donalda, więc po raz kolejny mieliśmy miłą i przyjemną rozmowę bez spięć. Jeszcze wcześniej kandydat pojawił się w podcaście 29-letniej gwiazdy wrestlingu Logana Paula, znanego z pokazania trupa samobójcy na swoim kanale.

Rozmowy składają się głównie z populistycznych, antyimigranckich haseł i wzniosłych słów o tym, jak po zwycięstwie w wyborach Ameryka będzie niebem na Ziemi. Były prezydent USA używa takich rozmów – bo w gruncie rzeczy ciężko nazywać to wywiadami – nie tylko do promocji własnej osoby, ale też wprost agitacji wyborczej. Rozmawia w internecie ze swoimi entuzjastami, którzy pomagają mu dotrzeć do społeczeństwa skuteczniej, niż zrobiliby to eksperci od kreowania wizerunku. Nie bawiąc się w subtelności: Ross wprost zakomunikował widzom: *Naprawdę musicie iść i zagłosować, na właściwą osobę, i to właśnie on*.

Kontrowersje Trumpowi już bardziej nie zaszkodzą i wydawać się może, że nawet spotkanie z Hitlerem nie wzbudziłoby w jego przypadku szczególnego oburzenia.

W dodatku to wejście do świata internetu daje mu znacznie większe pole do popisu – chociażby dlatego, że żadna tradycyjna telewizja nie pokazałaby prawie dwugodzinnego wywiadu. W necie nie ma z tym najmniejszego problemu.

Rezygnacja Joe Bidena z wyścigu prezydenckiego wytrąciła z rąk Trumpa i republikanów argument wieku. W odróżnieniu od Bidena Kamala Harris wraz ze swoim sztabem marketingowców rozumie, ile może znaczyć dotarcie do najmłodszych wyborców poprzez aktywność w mediach społecznościowych czy poparcie celebrytów i influencerów. Stąd tak zdecydowane działania Trumpa: chce on udowodnić, że w necie, niezależnie od wieku, umie sobie poradzić.

I na nieszczęście demokratów radzi sobie bardzo dobrze. Dotarcie do młodych ekstremistów, niezaangażowanych obywatelsko i pomijanych w debacie politycznej w dłuższej perspektywie odbije się w jego poparciu: może i niewiele, ale w tych wyborach mogą zdecydować ułamki procent. Samo już stanowcze odejście od prowadzenia kampanii w mediach głównego nurtu ociepla jego wizerunek, szczególnie u tych mniej zainteresowanych potencjalnych wyborców. Pytanie tylko, czy Kamala Harris jest się w stanie temu jakkolwiek przeciwstawić? I czy istnieje w ogóle sens kontrowania tego – biorąc pod uwagę narastającą przewagę demokratów i mimo wszystko negatywny odbiór Trumpa przez znaczną część Amerykanów? W końcu nieudany zamach miał być wydarzeniem, przez które jego poparcie poszybuje w górę i już nigdy nie spadnie. Jak będzie teraz? Zobaczymy.

NIKODEM KUSZ

eprasa.pl 1cbc9cf06b

Iran łagodzi kurs, ale go nie zmienia

Kardiochirurg wśród ajatollahów

Po śmierci prezydenta Ebrahima Ra'isiego, który 19 maja zginął w katastrofie lotniczej, w Iranie odbyły się przedterminowe wybory prezydenckie. Wygrał uważany za umiarkowanego reformatora Masud Pezeszkian: kardiochirurg, były minister zdrowia i były wiceprzewodniczący parlamentu.

Wielobiegunowemu światu pokój

W irańskim dzienniku „Tehran Times" Pezeszkian opublikował artykuł pt. „Moje przesłanie do nowego świata". Zapowiedział w nim poszukiwanie przyjaznych relacji z rządami na całym świecie w oparciu o *dialog, współpracę, równość i wzajemne poszanowanie*.

Owa dyplomatyczna formułka nie oznacza bynajmniej, że jego rząd skoryguje swoje stanowisko wobec Izraela i sprawy palestyńskiej. Podczas rozmowy telefonicznej z przywódcą Hamasu Pezeszkian zapewnił go, że poparcie dla Palestyny będzie jego priorytetem. Opowiada się jednak za pokojowym rozwiązaniem konfliktu, nawołuje inne kraje regionu do współpracy przy użyciu wszelkich politycznych i dyplomatycznych środków. Uważa, że kluczem do rozwiązania kwestii palestyńskiej byłoby powszechne referendum mieszkańców Palestyny z udziałem muzułmanów, Żydów i chrześcijan. Jednocześnie Iran zapowiedział, że nie włączy się w negocjacje dotyczące przerwania działań wojennych w Strefie Gazy prowadzone przy udziale Egiptu, Kataru i USA – zapewne ze względu na ostatnie z wymienionych państw.

Region Bliskiego Wschodu pozostaje w centrum uwagi Iranu; Pezeszkian zapowiada zacieśnienie współpracy z Turcją, Arabią Saudyjską, Omanem, Irakiem, Bahrajnem, Katarem, Kuwejtem, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i organizacjami regionalnymi, pogłębienie więzi ekonomicznych i promowanie wspólnych inwestycji.

Z Chinami i Rosją – pisze Pezeszkian – Iran łączy głęboka przyjaźń. Teheran będzie w jeszcze większym stopniu współpracować z Pekinem na rzecz stworzenia nowego ładu światowego, wspierając chińskie dążenia do stworzenia świata wielobiegunowego. Chiny są dziś największym partnerem handlowym Iranu i największym odbiorcą irańskiej ropy naftowej.

Z Rosją Iran łączą coraz ściślejsze kontakty gospodarcze; zarówno dwustronne, jak też wielostronne w ramach BRICS, Szanghajskiej Organizacji Współpracy i Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej. Pezeszkian zapowiada dokończenie negocjacji w sprawie dostaw rosyjskiego gazu. Rosja chce inwestować w rozwój portu Amirabad na Morzu Kaspijskim. O wadze, jaką prezydent przywiązuje do stosunków z Rosją, może świadczyć nominowanie na stanowisko głównego doradcy politycznego Mehdiego Sanaei, który przez sześć lat był ambasadorem Iranu w Moskwie, a przedtem kierował zespołem studiów nad Rosją na stołecznym uniwersytecie.

Warto zauważyć, że Europa i Stany Zjednoczone pojawiają się na końcu tekstu Pezeszkiana, dopiero po zachętach do współpracy adresowanych do Afryki i Ameryki Łacińskiej. Krajom europejskim nowy prezydent Iranu oferuje współdziałanie nie tylko w sferze gospodarki i technologii, lecz także w zwalczaniu terroryzmu i narkobiznesu oraz kryzysu migracyjnego. W odpowiedzi rzeczniczka UE ds. spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa Nabila Massrali zadeklarowała gotowość kontaktów z nowym prezydentem zgodnie z linią „krytycznego zaangażowana". Jednak zaledwie w tydzień później Rada Unii Europejskiej ogłosiła przedłużenie o kolejny rok sankcji finansowych wobec 12 osób i dziewięciu podmiotów zbiorowych, uzasadniając, że Iran jakoby wspiera militarnie Rosję w jej wojnie z Ukrainą. W odpowiedzi rzecznik irańskiego MSZ wytknął europejskim politykom bierną postawę wobec kryzysu humanitarnego w Gazie.

Między Rosją a Ameryką

Stanom Zjednoczonym Pezeszkian zaleca uznanie realiów i zrozumienie, że Iran nie będzie reagować na naciski. Wypomina politykę Trumpa, który wycofał się z umowy w sprawie irańskiego programu nuklearnego i nałożył na Teheran sankcje ekonomiczne. Irańskie władze konsekwentnie utrzymują, iż program ma służyć celom wyłącznie pokojowym. Pezeszkian podkreśla, że doktryna militarna Iranu nie przewiduje posiadania broni jądrowej – i wzywa Stany do skorygowania swojej polityki, przy okazji wytykając USA aktywne wspieranie zbrojeń nuklearnych Izraela. W sumie jednak słowa skierowane pod adresem Waszyngtonu można odczytać jako próbę wznowienia dialogu, może wyraz nadziei na złagodzenie amerykańskich sankcji. Pezeszkian dał do zrozumienia, że chciałby powrotu do umowy nuklearnej.

Władze w Teheranie muszą się śpieszyć: w przyszłym roku w Białym Domu może zasiąść nieprzejednany w swojej wrogości wobec Iranu Donald Trump. Joe Biden ma tu znacznie bardziej elastyczne podejście: w ubiegłym roku zezwolił na odblokowanie 6 mld dolarów irańskich środków ulokowanych w Korei Południowej w zamian za uwolnienie amerykańskich zakładników oraz doprowadził do odblokowania irańskich pieniędzy w Iraku, co pozwoliło mu na zakup irańskiego gazu. Sekretarz stanu Antony Blinken oświadczył, że jednostronne wycofanie się USA z dwustronnej umowy z Iranem było błędem. Blinken twierdzi, że Iran jest w stanie wyprodukować materiały potrzebne do konstrukcji bomby atomowej w tydzień lub dwa. Nawiasem mówiąc, w obawie przed powrotem Trumpa do władzy również Ukraina nalega na przyśpieszenie negocjacji pokojowych, nawet z udziałem Rosji. Jak widać, straszak Trumpa działa tu jak gdyby w dwóch przeciwstawnych kierunkach, dowartościowując przy okazji pozycję Bidena.

O pozycji Iranu na arenie międzynarodowej mogłoby świadczyć to, że na inauguracji nowego prezydenta 30 lipca obecni byli przedstawiciele 88 państw. Jednak nie do końca, ponieważ do Teheranu przybyło tylko dwóch najważniejszych polityków swoich krajów – prezydent Tadżykistanu Emomali Rahmon oraz premier Armenii Nikoł Paszynian.

Stronę palestyńską reprezentowali nie przedstawiciele władz Autonomii, lecz przywódca Hamasu Ismail Haniye oraz sekretarz generalny wspieranego przez Iran radykalnego ugrupowania paramilitarnego Islamski Dżihad, Ziad al-Nachalah. Jednak już następnego dnia po inauguracji Haniye został zamordowany w swojej rezydencji w Teheranie. Iran o dokonanie zamachu oskarżył Izrael, dodając, że korzystał on z zielonego światła ze strony USA, i zapowiadając akcję odwetową. Jak do tej pory są to jedynie pogróżki. Zwłaszcza że w Moskwie wydano oświadczenie wzywające wszystkie strony – a więc także Iran – do powstrzymania się z podejmowaniem akcji mogących powodować dramatyczne skutki i sprowokować konfrontację militarną na wielką skalę. A ze zdaniem Rosji Iran musi się liczyć.

W kraju łatwiej

Jeszcze przed formalnym zaprzysiężeniem Pezeszkian rozpoczął – jak na razie skuteczne – starania o poparcie ze strony wpływowych środowisk. Zaczął od rozmowy z przywódcami irańskich sunnitów – dając do zrozumienia, że szyicka większość nie dąży do dominacji; zapewnił też, że będzie na równi traktować wszystkich obywateli bez względu na narodowość, religię czy regiony, w których zamieszkują, co – jak podaje irańska agencja IRNA – spotkało się z aprobatą ze strony sunnickich duchownych. Na spotkaniu z przedstawicielami mniejszości religijnych i etnicznych podkreślał, że do realizacji narodowych celów i rozwiązywania problemów potrzebna jest jedność, spoistość i tolerancja. Zapowiedział odbywanie regularnych takich spotkań.

Pezeszkian zapewnił też sobie, werbalne przynajmniej, poparcie ze strony struktur siłowych. Dowódcy wojskowi wyrazili pełną gotowość współpracy z nową administracją; podobnie jak komendanci jednostek Islamskiej Gwardii Rewolucyjnej. Formacja ta, licząca 125 tys. funkcjonariuszy, ma głównie na celu przestrzeganie norm prawa islamskiego – zarówno w sferze politycznej, jak i obyczajowej. Agencja Reuters nazwała ją przemysłowym imperium o dużych politycznych wpływach. Nie tylko Stany Zjednoczone, ale też Arabia Saudyjska i Bahrajn uznają ją za organizację terrorystyczną.

Najważniejsze jest jednak wsparcie, jakiego udzielił Pezeszkianowi sprawujący faktyczną władzę w Iranie ajatollah Ali Chamenei. Zwracając się do parlamentarzystów, oświadczył, że daje silną rekomendację dla konstruktywnego współdziałania parlamentu z nowym rządem. Można to odczytać jako wręcz polecenie wydane posłom do medżlisu (irańskiego parlamentu), gdzie po majowych wyborach przedstawiciele twardej linii mają 233 spośród 290 mandatów. Spiker parlamentu Bager Kalibaf, niedawny rywal Pezeszkiana w wyborach prezydenckich, skwapliwie zapowiedział, że izba *wykorzysta wszelkie legislacyjne, nadzorcze i doradcze możliwości, aby wspomóc rząd w jego służbie na rzecz narodu*. Pezeszkian natychmiast podziękował ajatollahowi pisząc na platformie X, że wsparcie ze strony Najwyższego Przywódcy jest *najwyższą gwarancją przyszłych sukcesów*. Przy wielu innych okazjach podkreślał, że jego rząd będzie realizować cele wytyczone przez najważniejszego ajatollaha.

Wyborcze zwycięstwo Pezeszkiana wywołało zdziwienie wśród wielu zagranicznych komentatorów, niepotrafiących zrozumieć, jak teokratyczna dyktatura mogła do tego dopuścić. Komentator BBC, Tom Bennett, proponuje wyjaśnienie: Chamenei postanowił złagodzić dotychczasowy ostry kurs zarówno w polityce zagranicznej, jak też wobec problemów krajowych. Pezeszkian reprezentuje siły co prawda reformatorskie, lecz funkcjonujące wewnątrz teokratycznego systemu.

Dlaczego Pezeszkian?

W Iranie funkcjonuje dość specyficzny system kwalifikacji kandydatów ubiegających się o prezydenturę. O tym, kogo dopuścić, a kogo nie, decyduje Rada Strażników Konstytucji – a de facto ajatollah Chamenei. Mianuje on połowę z 12 członków rady; pozostałą szóstkę proponowaną przez parlament musi zatwierdzić szef władzy sądowniczej – nominowany oczywiście przez najwyższego ajatollaha.

W tym roku spośród 80 kandydatów do wyścigu prezydenckiego dopuszczono sześciu. W tym gronie znalazł się tylko jeden uważany za reformatora – właśnie Pezeszkian; pozostali to przedstawiciele tzw. twardej linii.

Dwóch z nich się wycofało, więc ostatecznie w wyborach startowało trzech konserwatystów: były negocjator programu nuklearnego Said Dżalili; spiker parlamentu ściśle powiązany z Gwardią Rewolucyjną Mohammed Bager Kalibaf; były minister spraw wewnętrznych i sprawiedliwości Mostafa Purmohammadi.

Można domniemywać, że ustalając tę listę, Chamenei dopuszczał dwa warianty: albo wygra bliski mu ideowo zwolennik twardej linii, albo umiarkowany, a jednocześnie lojalny wobec niego reformator, użyteczny w łagodzeniu tak napięć społecznych w kraju, jak i konfliktów zewnętrznych. Sam Chamenei nie prowadzi negocjacji z partnerami zagranicznymi. Od tego ma swoich ludzi. Umiarkowany reformator Pezeszkian jest dla Zachodu bardziej strawnym partnerem niż twardogłowy fundamentalista.

Chamenei liczy też na to, że zwący siebie *reformatorskim pryncypialistą* nowy prezydent przyczyni się do poprawy wizerunku władzy mocno osłabionego w wyniku wewnętrznych napięć, zwłaszcza po krwawych zamieszkach wywołanych śmiercią Mahsy Amini. 22-letniej Kurdyjki, która w 2022 r. zmarła w więzieniu po aresztowaniu jej za niewłaściwe noszenie hidżabu. Wyrazem spadku zaufania do władzy i społecznej apatii była wyjątkowo niska frekwencja w pierwszej turze – niespełna 40 proc.

Pierwszą turę 28 czerwca wygrał Pezeszkian, uzyskując 42,45 proc. głosów – o niemal 4 proc. więcej niż drugi w kolejności Dżalili. Dopiero na trzecim miejscu uplasował się uważany za faworyta, a nawet za przyszłego Najwyższego Przywódcę, Kalibaf (13,79 proc.). W drugiej turze 5 lipca frekwencja wzrosła do 50 proc., a Pezeszkian zdobył 6 mln głosów więcej – co oznacza, że poparli go ci, którzy w pierwszej nie głosowali.

Nowy rząd został ostatecznie zatwierdzony 21 sierpnia – tyle czasu zajęło przesłuchanie i przegłosowanie poszczególnych kandydatów. W autokratycznej Republice Islamskiej panują bowiem inne standardy niż w demokratycznej RP, gdzie skład rządu głosuje się na zasadzie: wszyscy albo nikt. Kandydaci przedstawieni przez Pezeszkiana uzyskali poparcie parlamentarnej większości, jednak nikt nie zdobył 100 proc. głosów. Rozrzut był dość spory – od 163 oddanych na szefa resortu zdrowia do 281 na zawodowego wojskowego wytypowanego na ministra obrony. Wcześniej 19 kandydatów odpowiadało na pytanie posłów.

Warto zwrócić szczególną uwagę na słowa kandydata na ministra spraw zagranicznych: w polityce zagranicznej Iranu priorytetem będą stosunki z Chinami, Rosją, z państwami Afryki, Ameryki Łacińskiej i Azji Wschodniej. A szczególnie z krajami, które – podobnie jak Iran – są obiektem sankcji. Polityk zaznaczył jednocześnie, że nowy rząd nie będzie się śpieszył z podjęciem negocjacji w celu ich zniesienia. Priorytetem nowego rządu może być także Europa, ale pod warunkiem, że skoryguje swoją „wrogą postawę" wobec Iranu.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 1cbc9cf06b

Igrzyska Tuska

Myślałem, że rząd demokratyczny będzie trochę roztropniejszy niż jego poprzednicy.

Wcale się nie dziwiłem, że przed wyborami parlamentarnymi prezydent Andrzej Duda zapowiadał organizację igrzysk olimpijskich w Warszawie w 2036 r. To dobrze pasowało do ideologii PiS, która propagandę stawiała na pierwszym miejscu. Polska wg PiS jest światową potęgą, dzięki bliżej nieokreślonej idei Trójmorza wraca (przynajmniej terytorialnie) do czasów Rzeczpospolitej Obojga Narodów, wszyscy mają nas podziwiać i bać się nas. Pomysł organizowania olimpiady odpowiadał także aktualnej od starożytności maksymie „chleba i igrzysk". Tego zawsze potrzebuje lud. No więc lud dostanie 500 zł (teraz już 800) na dziecko oraz igrzyska olimpijskie w Warszawie.

Rio nad Wisłą

Termin 2036 r. był nawet teoretycznie nierealny. Międzynarodowy Komitet Olimpijski ma swoje zobowiązania oraz politykę przyznawania zawodów na różnych kontynentach. O ile jednak wiem, Andrzej Duda rozpoczął jakieś nieoficjalne starania, a szeptać nawet zaczęto, że po zakończeniu drugiej kadencji w Pałacu Prezydenckim miałby chrapkę na posadę przewodniczącego MKol. I jedno, i drugie jest mrzonką.

Sądziłem, że pomysł – niektórzy przypuszczali, że była to tylko jedna z przedwyborczych zagrywek – umrze wraz ze zmianą władzy. Ależ gdzie tam! Nastąpiło tylko przesunięcie w czasie. Premier Donald Tusk ogłosił niespodziewanie, że Polska poczyni starania o organizowanie olimpiady w 2040 lub 2044 r. Zaskoczył tym nawet członków własnej partii.

Mamy rekordowe wydatki na zbrojenia, rekordowy deficyt budżetowy, ale – co tam – będziemy mieli igrzyska olimpijskie w Polsce. My nie potrafimy? Polak potrafi!

Koszt zorganizowania igrzysk olimpijskich jest oszałamiający. Rekordowe wydatki ponieśli Japończycy, bo igrzyska w Tokio kosztowały 28 mld dol. Dla Polski byłaby to kwota nie do udźwignięcia, ale nie będę demagogiem. Igrzyska w Tokio przypadły na czas pandemii COVID-19. Trzeba je było przesunąć o rok, odbywały się bez kibiców, duże sumy pochłonęły wszelkie medyczne zabezpieczenia. Jeśli chodzi o Polskę, porównuje się raczej nasze igrzyska do tych w Rio de Janeiro. Kosztowały Brazylijczyków (kraj bogaty i dynamicznie rozwijający się gospodarczo) 15,6 mld dol., co w przeliczeniu daje ok. 70 mld zł. Tyle rocznie wydajemy na program 800+. Zapytajcie rodziców, czy wolą dostawać te pieniądze, czy chodzić z zadartym podbródkiem, niczym prezydent Duda, i puszyć się olimpiadą.

Nawet ostrożne liczenie kosztów i zamiar oszczędnego przeprowadzenia igrzysk nie zabezpieczy przed przykrymi niespodziankami. Japończyków uderzyła po kieszeni pandemia koronawirusa. Kto nam zagwarantuje, że za 20 lat wszystko przebiegnie jak po maśle? A może pojawi się jakiś inny patogen, może świat będzie się zmagać np. z małpią ospą i znów niebotycznie urosną koszty imprezy? Nawet nie chcę mówić o konfliktach zbrojnych – przecież dziś mamy wojnę za naszą granicą. Obyczaj zawieszania konfliktów zbrojnych na czas zapalania znicza olimpijskiego jest już tylko starożytną historią i to, niestety, się nie zmieni.

Jeśli tworzy się jakieś scenariusze, zwłaszcza długoterminowe, trzeba zawsze brać pod uwagę nie tylko pozytywne założenia. To abecadło każdego menedżera.

Plaża przed PKiN-em

Mamy świeżo w pamięci igrzyska w Paryżu, fantastyczną ceremonię otwarcia oraz piękne obiekty usytuowane w większości w centrum stolicy. Organizatorzy następnych igrzysk w Los Angeles postarają się z pewnością przelicytować Francuzów. Zastanawiam się, czym my moglibyśmy zadziwić świat. Mamy osiągnięcia w różnych dziedzinach, ale są to raczej sukcesy na miarę naszego regionu. Józef Orliński zaśpiewał podczas czterogodzinnej ceremonii otwarcia igrzysk w Paryżu. Ładny gest ze strony organizatorów, którzy postanowili chwalić się nie tylko tym, co własne, ale dali trochę przestrzeni dla gości.

Turniej plażowej piłki siatkowej odbywał się pod Wieżą Eiffla. Oczywiście moglibyśmy wysypać piasek przed Pałacem Kultury i Nauki, który dzisiaj stanowi atrakcyjną architektonicznie pamiątkę po stalinowskich czasach. Coś tam udałoby się wyremontować i odświeżyć. Na dobrą sprawę, nie mamy jednak żadnych obiektów na olimpijską miarę.

Po Euro 2012, największej imprezie, jaką organizowaliśmy (wspólnie z Ukrainą), zostało nam sporo fajnych stadionów. Dziś są one już przestarzałe. Na Stadionie Narodowym można zorganizować olimpijski turniej piłki nożnej. Nawet na przeprowadzenie ceremonii otwarcia i zamknięcia igrzysk (o ile zdecydowalibyśmy się na powrót do tradycji, bo o defiladzie na Wiśle raczej nie ma o marzyć) reprezentacyjny obiekt Polski jest za mały.

Olimpiada zapowiadana przez prezydenta Dudę miała w planach dość szczegółową lokalizację poszczególnych dyscyplin. Wszystkiego nie pamiętam – nie lubię sobie obciążać mózgu różnymi bzdurami – ambitne plany były np. w odniesieniu do wioski olimpijskiej. Miała zostać wybudowana na terenie lotniska Okęcie, które zniknęłoby, w związku z otwarciem CPK. Oczywiście do tego portu przylatywaliby goście, a następnie jedną ze szprych szybkiej kolei podążali na sportowe areny.

Francuzi starali się zdecydowaną większość konkurencji skupić w stolicy. Tylko żeglarstwo i surfing przenieśli tam, gdzie daje się je uprawiać. Jeśli chodzi o żeglarstwo, nie ma u nas problemu, możemy się pochwalić nie tylko pięknymi akwenami, ale też coraz nowocześniejszymi marinami. Z surfingiem byłoby gorzej, bo bałtyckie fale nie wystarczą, a zamorskich terytoriów, w przeciwieństwie do Francuzów, nie mamy.

Piramida z wuefem w podstawie

Oficjalnie organizatorami igrzysk są miasta, co oczywiście jest bzdurą, bo żadne, nawet te najbogatsze, nie udźwignęłyby takiego ciężaru. Istnieje więc tendencja, aby decentralizować igrzyska, przenosić wiele konkurencji do nawet odległych miejsc. W przypadku Polski byłoby to niezbędne. W Paryżu (czyli we Francji, a nawet w Polinezji Francuskiej) rywalizowano w 329 konkurencjach. Każda potrzebuje swoich obiektów. W Polsce, poza katowickim Spodkiem, pamiętającym jeszcze minioną epokę, nie mamy reprezentacyjnej hali sportowej.

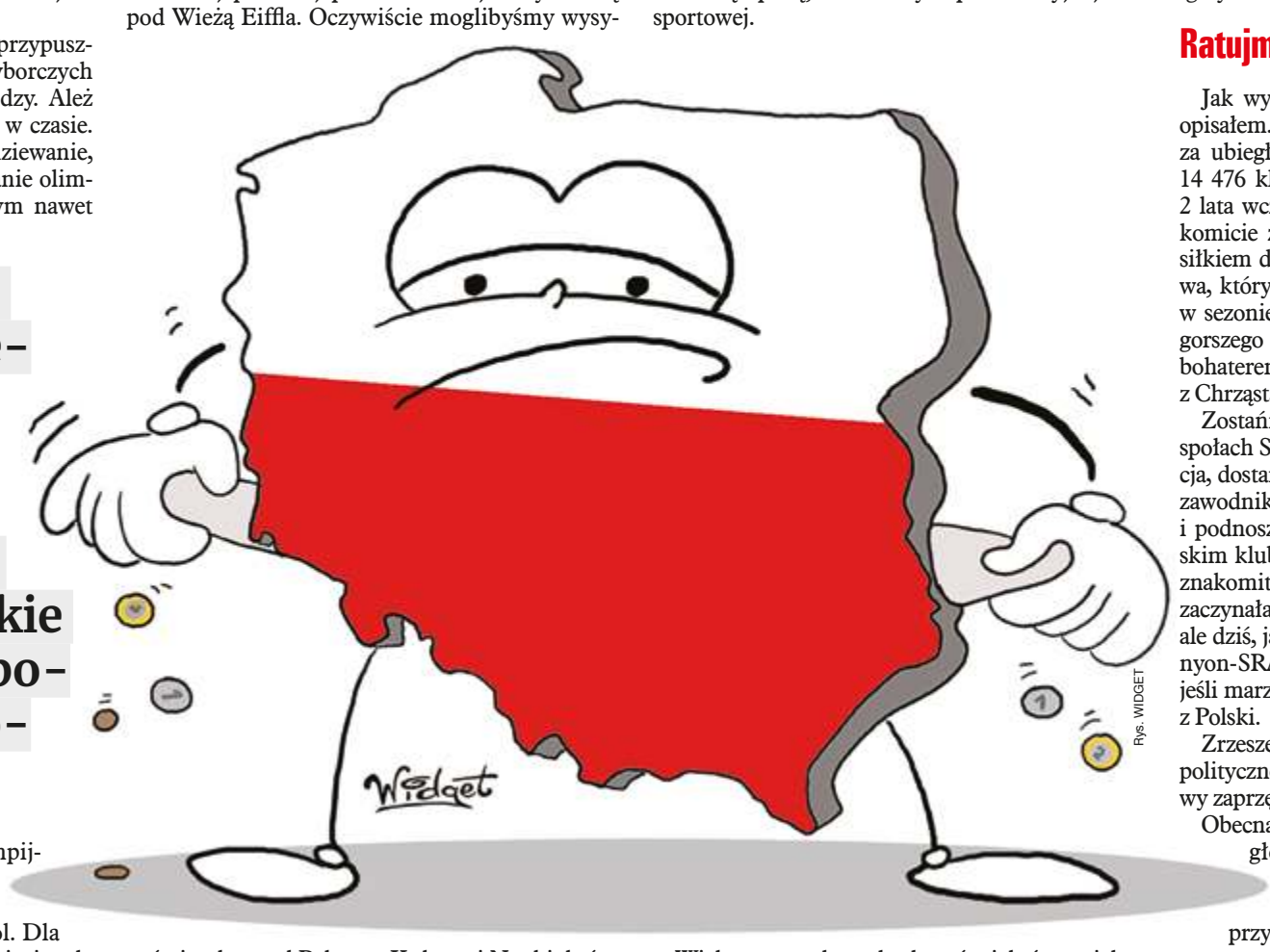

Rys. WIDGET

Wiele aren trzeba wybudować, niektóre z nich są bardzo potrzebne, inne byłyby prowizoryczne i rozebrane zaraz po igrzyskach. Czy jesteśmy w stanie sobie z tym poradzić, skoro rządząca koalicja nie potrafi dogadać się w sprawie budownictwa mieszkaniowego dla młodych Polaków? Czy wioska olimpijska byłaby wznoszona z programu „kredyt 0 proc." czy „kredyt na start", czy jakiegoś innego? Rodacy, którzy długo po trzydziestce zmuszeni są mieszkać pod dachem rodziców, na pewno nie byliby zachwyceni lasem dźwigów na budowach olimpijskich.

Z obiektami sportowymi jest marnie, ze sportem jeszcze gorzej. Francuzi podczas igrzysk w Paryżu zdobyli 16 złotych medali i zajęli 5. lokatę w klasyfikacji. A my? 1 złoty medal i 42. miejsce. Nie to jest nawet najważniejsze. W naszym kraju sport sprowadza się do kibicowania z trybun, nie zawsze kulturalnego. Tak wielka i kosztowna impreza, jaką są igrzyska olimpijskie, ma sens tylko tam, gdzie kultura fizyczna jest powszechna. Jeśli ludzie nie będą biegać, chodzić do siłowni, pływać, niech lepiej oglądają zagraniczne igrzyska w telewizji.

Większość polskich uczniów nie potrafi zrobić przewrotu w przód na materacu ani kozłować. Za to mamy niechlubne rekordy w otyłości dzieci i młodzieży. Uczniowie żebrzą u kogo się da o zwolnienie z lekcji WF.

Zamiast wydawać krocie na największą sportową imprezę świata, należałoby najpierw nie żałować środków na upowszechnianie kultury fizycznej i sportu. Sport, nie w wyczynowym wydaniu, to zdrowie. W tym znaczeniu stare hasło nie straciło aktualności.

Sport często przedstawia się jako piramidę, u której podstawy jest masowość, a na czubku wyczyn na olimpijskim poziomie. Z czasem podstawa piramidy oderwała się nieco od wierzchołka. Wyczyn stał się zawodowstwem, a treningi zaczynały kilkunastolatki. Teraz znów wszystko wraca na swoje miejsce. Specjalistyczne ćwiczenia zaczynać trzeba w wieku kilku lat (choć początkowo oczywiście bardziej przypominają zabawę niż ciężką pracę), a później najlepsi prowadzeni są drogą gladiatora aż do najwyższego poziomu. Im bardziej masowy sport – tym więcej talentów uda się wyłowić. Tak to powinno wyglądać w kraju, który marzy o organizowaniu igrzysk olimpijskich.

Ratujmy elzetesy!

Jak wygląda kultura fizyczna w Polsce, krótko opisałem. A co z wyczynem? W 2022 r. (danych za ubiegły rok nie znalazłem) działały w Polsce 14 476 kluby sportowe. To o 1,6 proc. więcej niż 2 lata wcześniej. Klub klubowi nierówny. Są znakomicie zorganizowane – często społecznym wysiłkiem działaczy – są też takie, jak LZS Chrząstawa, który wskutek przegrania wszystkich meczów w sezonie w piłkarskiej klasie B zdobył tytuł najgorszego zespołu w Polsce. Klub stał się głównym bohaterem filmu dokumentalnego „Biało-czerwoni z Chrząstawy".

Zostańmy jeszcze przy LZS, czyli Ludowych Zespołach Sportowych. Kiedyś była to silna organizacja, dostarczająca sportowi wyczynowemu licznych zawodników. Można było mówić, że kolarstwo i podnoszenie ciężarów istniało tylko dzięki wiejskim klubom. Dziś to już historia. Owszem, nasza znakomita kolarka Katarzyna (Kasia) Niewiadoma zaczynała się ścigać w WLKS Krakus Swoszowice, ale dziś, jako profesjonalna zawodniczka grupy Canyon-SRAM Racing namawia młodsze koleżanki: jeśli marzycie o sukcesach, czym prędzej uciekajcie z Polski.

Zrzeszenie LZS stało się za to bohaterem afery politycznej, bo środki przeznaczone na sport masowy zaprzęgnięto do kampanii wyborczej PiS.

Obecna władza od ponad 9 miesięcy skupia się głównie na rozliczeniach poprzedników i lansowaniu swojej wcześniejszej idei orlików, czyli ładnych boisk piłkarskich przy szkołach. To wszystko jest potrzebne, nie przeczę, ale należałoby już zająć się budowaniem zdrowej, sensownej piramidy, o której wszyscy mówią i nic nie robią. Nikogo nie trzeba przekonywać, że młodzież ze wsi i małych miasteczek stanowi znakomity – przepraszam za użycie tego sformułowania – materiał dla sportu wyczynowego: przyzwyczajona od małego do ciężkiej pracy, ciekawa świata, głodna sukcesów. Jeśli przywrócona zostanie siła Ludowych Zespołów Sportowych, obiecywanie igrzysk olimpijskich w Polsce będzie mniej bezsensowne, choć nadal nierealne.

Gdyby udało się – w co wątpię – zorganizować igrzyska olimpijskie w Polsce w terminie zapowiadanym przez Donalda Tuska, mam marne szanse dożyć tego wstydu. Polska jest średnim, choć prężnie się rozwijającym krajem i w 20 lat to się nie zmieni. Nie staniemy się światową potęgą, a tylko one mogą materialnie i organizacyjnie pozwolić sobie na przeprowadzenie największej sportowej imprezy czterolecia.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Anna Skibniewska, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 4.09.2024 r.

eprasa.pl 1cbc9cf06b

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Tylko u nas dokładny opis okoliczności, w jakich doszło do błędu, którym było podsunięcie do podpisania premierowi Tuskowi dokumentu o powołaniu neosędziego Wesołowskiego przez prezydenta Dudę na przewodniczącego zgromadzenia sędziów Izby Cywilnej Sądu Najwyższego. Błędnego podsunięcia dokonał, jak wiadomo, Maciej Berek, minister-członek Rady Ministrów w gabinecie premiera Tuska.

We wtorki Berek zwykł się bawić w chowanego. Przy pomocy prezydenta chowali się neosędziowie, a Berek ich szukał, a gdy jakiegoś znalazł, zaklepywał. Tamtego wtorku postanowił się ujawnić neosędzia Wesołowski, wychodząc z szafy Dudy. Zanim to uczynił, Berkowi ukazał się Neo z „Matriksa".

– Co ci mówi neos, czyli nos? – zapytał Neo polszczyzną z Podlasia.

Berek dotknął swojego nosa, po czym odparł, starając się uniknąć akcentu z Pomorza Gdańskiego: – Nic.

Keanu Reevesa zastąpili komicy z kabaretu Neo-Nówka.

– Uważaj na tego Wesołowskiego – ostrzegł jeden, a pozostali dwaj roześmiali się perliście.

– Przecież uważam – odrzekł Berek i wówczas dostrzegł Wesołowskiego, nad którym zapaliła się neonowa strzałka.

– Dlaczego ta strzałka miga? – zapytał Berek.

– Może ostrzega przed tym, że jestem neosędzią – odezwał się Wesołowski, i dodał: – Neosędzią popieranym przez prezydenta Dudę.

– Duda nie jest neoprezydentem – zauważył Berek.

Było to pierwsze tego wtorku celne zauważenie Berka. I ostatnie.

Po grze w chowanego Berek wziął prysznic i zasiadł za biurkiem. Jak zwykle, w papierach miał porządek. Na wierzchu leżała do podpisania Tuska kontrasygnata w sprawie powołania Wesołowskiego.

– Dać do podpisania czy nie dać? – zapytał głośno Berek.

– Nie – powiedział po białostocku Neo.

– Nie dawaj! – zawołał po wrocławsku Roman Żurek z Neo-Nówki.

– Dobry urzędnik nie popełnia błędów – upewnił się Berek.

A następnie popełnił błąd.

Kolejny błąd popełnił Tusk, podpisując kontrasygnatę, ale przecież premier codziennie podpisuje tyle dokumentów, że mógł się pomylić.

Tamtego wtorku Tusk popisał osiemnaście dokumentów, chociaż powołanie Wesołowskiego leżało na górze i było oświetlone migającą neonową strzałką.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA tak się przejmuje kierowaniem gazetą, że nie ma czasu spokojnie pogadać. **JOANNA SENYSZYN** uspokaja ją starym powiedzeniem: Nie przejmuj się rolą…

Wołk-Łaniewska: – Wiem, wiem: bo i tak cię wypierdolą. Choć akurat to stanowisko, które aktualnie piastuję, zwykło się opróżniać w inny sposób.

Senyszyn: – Niby racja… Z drugiej strony – jak miałabyś wyjechać z redakcji nogami do przodu, wypierdolenie wydaje się wersją optymistyczną.

– Możemy się umówić, że póki co nie wyjeżdżam?

– Zgoda. À propos przejmowania się rolą: ponoć Tusk podpisuje bez zastanowienia wszystko, co mu urzędnicy położą – lub podłożą – w teczce „do podpisu".

– Ciekawe, czy na odcinku prywatnym byłby tak samo ufny i walił autograf na każdym czeku, jakby go dostał od Berka.

– Pewnie nie, bo wyraźnie ogłosił, że jego bezmyślne podpisywanie ma charakter służbowy: *Jak państwo się orientujecie, zadaniem premiera jest podpisywanie setek dokumentów*. To tłumaczenie nie tylko absurdalne, ale wręcz obraźliwe dla obywateli. Zadaniem premiera jest rządzenie państwem, czyli podejmowanie setek decyzji, a nie *podpisywanie setek dokumentów*… Podpis nie jest jedynie rozwiniętą formą krzyżyka stawianego przez analfabetów. Jest pisemnym utrwaleniem oświadczenia woli. Stąd powiedzenie, że nic tak nie plami jak atrament, i tyleż zabawne, co pouczające ostrzeżenie: *Jeśli coś pomyślałeś, nie mów; jeśli powiedziałeś, nie pisz; jeśli napisałeś, nie podpisuj się, a jeśli się podpisałeś, nie dziw się*.

– To pięć przykazań watykańskich. Od nich ponoć zaczyna się edukacja każdego, kto marzy o karierze pod skrzydłami Wielkiego Białego Ojca. Piąte brzmi: *Jeśli myślisz, mówisz, piszesz i podpisujesz: nie bądź zaskoczony*…

– Premier podpisał i był zaskoczony. Jakby nie wiedział, że podpis pociąga za sobą odpowiedzialność, bo potwierdza przeczytanie dokumentu i wyrażenie zgody na jego treść. A to nasuwa poważne wątpliwości co do Tuskowych zdolności zarządzania państwem. Zwłaszcza że bagatelizuje on swoją skandaliczną decyzję, mówiąc: *Praktyczne konsekwencje tego podpisu nie są jakoś szczególnie istotne*. Faktycznie, to błahostka, że 8 lat walki o praworządność poszło w pis-u.

– Nieco dramatyzujesz, tak całkiem nie poszło. Proces rereformy sądownictwa jest długi, zajebiście skomplikowany i nikt już nic z niego nie rozumie, więc jedna głupia decyzja nie wyjaśniłaby sytuacji.

– Pozostaje pytanie, czyim długopisem jest Tusk. Chyba że jest drugie dno, ale nawet miło, że go bronisz…

– O cholera! Tak jakoś mi wyszło niechcący… Może dlatego, że ostatnio, po raz pierwszy bodaj w historii, powiedział coś, z czym zgadzam się całym sercem.

– Nie trzymaj mnie w niepewności…

– *Gustibus non disputandum est*.

– Poprawna formuła brzmi: *de gustibus non est disputandum*, ale nie czepiajmy się szczegółów, przejdźmy ad rem: zdanie, że gusty nie podlegają dyskusji, jest merytorycznie słuszne, jednak mało odkrywcze. Co cię w nim tak zachwyciło?

– Była to odpowiedź na pytanie, czy jego wizyta w Mołdawii spowoduje, że zwiększy się eksport mołdawskiego wina do Polski. Tu premier zrobił zbolały wyraz twarzy, westchnął ciężko, walnął łacińską sentencję z błędem i ogłosił, że kraj, którym rządzi, jest krajem wolnym: *w Polsce każdy sobie wybiera, co lubi*. I jeszcze dodał, że *z tego, co pamięta, Polska jest jednym z największych importerów wina mołdawskiego na świecie*. Po czym dobił błyskotliwym zdaniem: *nie wykluczam, że największym po Rumunii*. I jestem w tej sprawie z Tuskiem w całej rozciągłości, albowiem nie znoszę mołdawskiego wina.

– Dziwnymi drogami chadzają polityczne wybory… Ale skoro już jesteśmy przy kierownikach państwa: czy wicepremier Kosiniak-Kamysz też zdobył twoją przychylność?

– Nie. O ile mi wiadomo, o winie nic nie mówił ostatnio… Mówił za to o broni, która jest wszak dokładnym przeciwieństwem wina…

– Bo jedno odżywia, a drugie zabija?

– Też. Ale głównie dlatego, że wydatki na broń są tak samo idiotyczne, jak wydatki na wino słuszne. Na targach zabawek do zabijania w Kielcach Kosiniak wygłosił absolutnie kuriozalny monolog o tym, jak to *jesteśmy w pierwszej trójce największych targów zbrojeniowych w Europie i na świecie* i *to jest powód do dumy*. I jeszcze dodał, jakby ktoś nie załapał za pierwszym razem, że jest to *największy salon przemysłu obronnego w historii Polski*. Natychmiast mi się przypomniał Witkacy: *Tak sobie wyobrażam Kielce, symbol, jako szczyt ohydy*…

– A może piękne to jest, ach, miasteczko, ach, i nawet miłe?

– *I niełatwo jest w nim złapać nawet kiłę*… Choć dla opisania wicepremiera Kosiniaka-Kamysza wybrałabym inny cytat: *Gdy człowiek gębą sra, a tyłkiem podpatruje obroty gwiazd i mgławic dalekich spirale*… Bo potem mówił jeszcze o tym, że mamy *pierwsze miejsce w NATO* w wydatkach na zbrojenia, które wzrosły z 4 do 4,7 proc. i jest to *ponad dwukrotne przekroczenie tego, do czego zobowiązują nas umowy w Sojuszu Północnoatlantyckim*, co stanowi *powód do dumy*, gdyż *pokazujemy, że Polska potrafi*, i *mamy się czym pochwalić*, albowiem *trzeba się zbroić każdego dnia*. No żeż – uczciwszy uszy – kurwa, ja pierdolę. Powód do dumy?!? Że na potencjał zabijania wydajemy prawie tyle samo, co na leczenie?!? Ja niniejszym się wypisuję.

– Z czego?

– Z, za przeproszeniem, ojczyzny.

– Tylko nie wyjeżdżaj za daleko, bo będziemy musiały płacić za roaming.

– Nie wyjeżdżam, udaję się na imigrację wewnętrzną.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– A, to w porządku. Wracając do twojego ulubionego Kosiniaka-Kamysza: jego wyczyny nie ograniczają się do zbrojeń. Dorzuciłabym fakt, iż po sprzeciwie wobec prawa do aborcji, teraz prezes PSL jest przeciw prawu LGBT+ do zawierania związków partnerskich. Umyślił sobie, że wspólnie z PiS i Konfederacją uchwali projekt o statusie osoby najbliższej. Tylko boi się, że to byłby koniec koalicji 15 października.

– A sondaże wskazują, że to może być ostatnia okazja PSL do bycia w jakiejkolwiek koalicji…

– Otóż to. Wracając do związków: na razie nikt nie wie, co dokładnie kombinują ludowcy, ale ponoć chodzi o ułatwienie dziedziczenia oraz dostępu do informacji medycznej. I może prezydent nawet by podpisał, bo to jest jego pomysł z kampanii wyborczej w 2015 r.

– Serio? Tego nie pamiętałam.

– Owszem. W 2015, jako nikomu nieznany polityk, Duda puszczał oko do wszystkich, byle wygrać Duży Pałac. *Myślę, że byłoby możliwe uznanie statusu osoby najbliższej, która mogłaby choćby dowiadywać się w szpitalu o stanie zdrowia czy odbierać korespondencję* – ogłosił.

– Łaskawca.

– Obiecał też, że *siądzie z gejami przy jednym stole*, bo *są ludźmi takimi samymi jak ja i należy im się szacunek*…

– Zgodziłabym się tylko połowicznie. Osobiście nie znam ani jednego geja, który byłby takim samym człowiekiem jak Andrzej Duda.

– A wiesz, że ja też nie?

– Przeważnie geje, przynajmniej ci wyautowani, nie są bigotami i homofobami…

– Wracając wszakże do statusu osoby najbliższej: może trzeba wytłumaczyć wicepremierowi – bo prezydentowi już niczego tłumaczyć nie warto – że minęła prawie dekada i to, co dziewięć lat temu było może do przyjęcia, teraz już nikogo nie usatysfakcjonuje…

– Jakby ktoś był nieusatysfakcjonowany, Kosiniak zawsze może przywołać go do porządku wojskiem polskim za 190 miliardów.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 1cbc9cf06b